ISSN 1897-1083

ECHA POLESIA

№ 4(52)2016 KWARTALNIK POLAKÓW NA POLESIU

Ksiądz Wincenty Kuras

POLESIE W „MATERIAŁACH DO DZIEJÓW SZTUKI SAKRALNEJ...”

Pierwszy Festiwal Kultury Polskiej w Niedźwiedzicy



Podczas warsztatów metodycznych dla nauczycieli w Polskiej Szkole Społecznej im.I.Domeyki w Brześciu, zorganizowanych przez Fundację «Wolność i Demokracja». Szkolenia prowadziła Anna Kietlińska, nauczycielka Liceum Ogólnokształcącego m. K.K.Baczyńskiego w Białymstoku, prezes Podlaskiego Oddziału Stowarzyszenia «Wspólnota Polska»



Podczas wizyty studyjnej w Warszawie , zorganizowanej dla 60 nauczycieli z Białorusi i Ukrainy przez Fundację «Wolność i Demokracja». Alina Jaroszewicz, redaktor «Ech Polesia», Andżelika Borys. Prezes Rady Naczelnej ZPB, Ewa Czerniawska, Starszy Radca Biura ds. Kontaktów z Polakami za Granicą przy Kancelarii Prezydenta RP



Odpust w Połoneczce. Parafianie i chór «Kraj Rodzinny», który uświetnia swoimi występami odpusty, festyny, akademie okolicznościowe na Polesiu i Ziemi Nowogródzkiej



Chór «Kraj Rodzinny» z instytucji kulturalnej «Kresy» z Baranowicz podczas Zjazdu Chórów Polonijnych w Ożarowie, zorganizowanym przez Fundację Ave Patria (od lewej)

SPIS TREŚCI

4 SŁOWO REDAKTORA

10 Z NASZEGO ŻYCIA
Anna Godunowa, *«Nekropolia katolicka w Brześciu» prezentacja pierwszego przewodnika*



13 *Pierwszy Festiwal Kultury Polskiej w Niedźwiedzicy*
16 Eugeniusz Lickiewicz, *Na miodowe dożynki do księdza Jana*
17 Iwan Czajczyc, *Historia w cegle*



20 *Echa naszych publikacji*
25 Iwan Czajczyc, *Odnaleźć człowieka*

28 NASZE FOTOREPORTAŻE
Anna Godunowa, *Z podróży redakcyjnych*

33 RELIGIA
Dymitr Zagacki, *Szlachetne serce księdza Wincentego Kurasa*

35 KULTURA
Dorota Piramidowicz, *Polesie w «Materiałach do dziejów sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej»*
41 Urszula Julita Adamska, *Kresy wschodnie – różnorodność, która ubogaca*

43 NASZE FOTOREPORTAŻE
Anna Godunowa, *Połoneczka*

48 CZYTELNICY POLECAJĄ
Maria Rodziewiczówna, *Florian z Wielkiej Hłuszy*

49 HISTORIA
Polesia czar według Sierbowa
51 Tamara Kabot, *Harcerstwo na Polesiu*
57 Dymitr Zagacki, *Wycieczki nad dawną granicę. Miasteczko Snów*
63 *Co się stało w Rendziłowszczyźnie?*
64 *Śmierć pułkownika*

67 LEKTURA DLA CIEBIE
Alaksiej Biały, *Dobrze pracujesz, wrogu narodu*

72 BIBLIOTEKA POLESKA
Piotr Boroń, *Z przewodnikiem turystycznym w poleską dżunglę*
75 Anna Kieżuń, *O dwoistości międzywojennego portretu Poleszuka*

84 Z LAMUSA WSPOMNIEŃ

88 Z TEKI POLESKIEGO ARCHIWISTY
Wesele w Rudzku

92 TRADYCJA
Wigilia w ziemiańskich dworach – wspomnienia



'ECHA POLESIA'
Kwartalnik Polaków na Polesiu

Adres Redakcji:
Brześć, 224023
ul. Moskiewska 344 - 56
e-mail: klub_polski@wp.pl
www.echapolesia.pl
tel.: w Brześciu:
Kom. z RB MTS (33) 672 19 37
Kom. z RP 0-037533 672 19 37

Redaktor naczelny:
Alina Jaroszewicz

Projekt jest realizowany we współpracy z Fundacją Wolność i Demokracja i współfinansowany ze środków otrzymanych z Senatu Rzeczypospolitej Polskiej w ramach konkursu na realizację zadania «Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2016 r.»


SENAT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ



Adres korespondencyjny:
Eugeniusz Lickiewicz
Skr. poczt. 63
Plac Wolności 9
Biała Podlaska 1, 21-500

Skład i łamanie:
Olga Brazińska

Korekta
Jan Wasylczuk


Zapraszamy do polubienia naszej strony na Facebooku
facebook.com/EchaPolesia

Foto na okładce – Aliaksei Dubrouski

SŁOWO REDAKTORA

Zbliża się Wigilia. Jest to szczególne święto. Przynosi zapach i smak odległego dzieciństwa. Wraca do nas z każdą zawieszoną na choince skrzącą urodą zabawką, z zapachem świeżej świerkowej czy jodłowej gałązki, z pierwszym śniegiem, który topi się na rzęsach i policzkach... Kultywując rodzinne tradycje, żywimy nadzieję, że nasze dzieci i wnuki będą je cenić i o nich pamiętać. Rozsiani po świecie, na wschodzie i na zachodzie, podtrzymujemy naszą polską duchową wspólnotę. Nie zapominajmy w dni świąt o tym, co nas łączy: o garści siana pod obrusem, o opłatku, dodatkowym nakryciu na stole dla niespodziewanego gościa-wędrowcy czy sąsiada. Kultywowanie tradycji jest piękną formą celebrowania życia. Takie różne wigilie bywały w naszym życiu i w życiu naszych bliźnich. O wigilii swojego dzieciństwa opowiedziała podczas naszego spotkania Pani Stanisława Chobian-Cheron, lekarz, pisarz, obecnie mieszkająca w Nancy, we Francji, urodzona w naszych stronach, w Iwiu. Te wigilie przedwojenne, z dzieciństwa naszych rodziców i dziadków, niosą niezwykłą energię miłości, prawdy, tęsknoty za utraconym światem, za tą kresową polską Atlantydą, która trwa we wspomnieniach, pieśniach i snach...

Foto Aliaksei Dubrouski

W wieczór wigilijny wszyscy – a zwłaszcza my, dzieci – z niecierpliwością oczekiwali pierwszej gwiazdki na ciemnym błękicie nieba. Na dworze siarczysty mróz, a śnieg pokrywał białą szatą drzewa kasztanowe i krzewy bzu otaczające podwórko. W ten wolny od nauki dzień cały dom wypełniał się od samego rana gwarem domowników. Służba krzątała się po kuchni, by przygotować 13 tradycyjnych potraw postnej wieczerzy wigilijnej (bez mięsa i bez wyrobów mlecznych). Przyrządzano barszcz czerwony z uszkami grzybowymi w chrupiącym cieście, a prócz tego bigos z kiszonej kapusty z jabłkami i orzechami. Na półmisku pysznił się ogromny szczupak w galarecie z marchewkową dekoracją, nie mogło też zabraknąć karpia na gorąco, smażonego na oleju, z «moczką», czyli sosem piernikowym z bakaliami o słodkawym smaku. W jednym kącie kuchni przygotowywano biały kwaskowaty kisiel na zaczynie zrobionym tydzień wcześniej z mąki owsianej, w innym kącie czerwony kisiel z żurawin oraz sałatkę z kiszonych ogórków. Obok pierogów kartoflanych z sałatką z selera albo z czerwonych buraków szykowano smakowite «mleko» makowe (utarty na białą masę mak z dodatkiem wody i osłodzony miodem) ze «ślizikami», czyli małymi pieczonymi kulkami z ciasta drożdżowego, posypanymi makiem. Tradycji dopełniały desery: świeże jabłka i gruszki, skrzętnie przechowywane od lata, suszone śliwki oraz kompot z suszonych owoców, do tego pieczywo drożdżowe, szarlotka z jabłkami i ciasteczka miodowe. Oprócz orzechów laskowych podawano szczególny przysmak – orzechy włoskie, a z owoców egzotycznych – pomarańcze.

Zapachy z kuchni rozchodziły się po całym domu; wciskały się do wszystkich pokoi, podnosiły świąteczny nastrój. My, dzieci, cała szóstka, kończyliśmy strojenie rozłożystej, wysokiej aż do samego sufitu choinki, stojącej na środku dużego pokoju. Na ogromnym stole pod białym płóciennym obrusem (z tkaniny własnego wyrobu) rozkładaliśmy równomiernie grubą warstwę siana, ku pamięci Nowonarodzonego Jezuska, złożonego w żłobie na sianku. Pośrodku stołu na dużym talerzu leżały białe opłatki, a pod talerzem – banknoty. Dzieląc się opłatkiem, składano sobie wzajemnie najlepsze życzenia, dodając przy tym, aby banknoty te w ciągu całego roku pomnażały się i mogły być dzielone z potrzebującymi.

Czekając na wieczerzę, co chwila ktoś z nas podbiegał do okna, aby popatrzeć, czy pierwsza gwiazdka nie ukazała się już na niebie. Trzeba było chuchać na szybę, pokrytą



Stasia Chobian, Iwie 1948, jeszcze przed aresztem



Iwie, 1938. Stasia harcerka, stoi pierwsza po prawej



Iwie, 1939. Stasia, druga od lewej



1953 r. Po wyjściu z więzienia Stasia z mamą i bratem Jankiem



Stanisława Chobian-Cheron, autorka książki «Wędrowne maki»

warstwą szronu, aby deseń z gwiazdek roztopił się i powstał mały krążek widoczności. Niektórzy wybiegali nawet na podwórze, aby szukać gwiazdki na niebiańskim widnokręgu. Trzaskający mróz wciskał się przez otwarte na chwilę drzwi, tworząc pod wpływem ciepła we wnętrzu białą gęstą parę, która natychmiast znikała. To nas bawiło, wybiegaliśmy więc na zimne powietrze – w świątecznym, lekkim ubraniu – z gromkim, radosnym śmiechem, nie myśląc wcale o przeziębieniu. Śmiech rozbrzmiewał często, bo każdy kilkakrotnie wyskakiwał na mroźne podwórko, by jako pierwszy móc zakrzyknąć: «Gwiazdka zajaśniała!», «Jest już gwiazdka!» i tym samym dać oczekiwane hasło do rozpoczęcia wieczerzy wigilijnej.

Wszyscy odczuwali już głód po skromnym, postnym śniadaniu: herbata z chlebem i miodem. Obiadu nie jedliśmy, a już dwa dni przed Bożym Narodzeniem obowiązywał ścisły post. Toteż pojawienie się gwiazdki na niebie – a to w najkrótszy dzień roku następowało gdzieś około godziny 17 – każdy przyjmował z radością. Wszyscy spiesznie gromadzili się przed dębowym stołem, który (jak prawie we wszystkich ówczesnych domostwach) umieszczony był w kącie dużego pokoju, otoczony szerokimi ławami z oparciem. Na honorowym miejscu stało krzesło dla gospodarza domu.

Ojciec skupionym, donośnym głosem zaczynał modlitwę dziękczynną za otrzymane łaski Boże i za przeżycie kolejnego roku w gronie rodzinnym (chorował na gruźlicę od kilkunastu lat). Zanosił prośbę o dalszą opiekę. Wszyscy głośno powtarzaliśmy za nim modlitwę wigilijną. Następowało dzielenie się opłatkiem – niezwykle dawna, na wskroś polska tradycja, nieznana nigdzie indziej na świecie. Najpierw Ojciec odłamywał kawałeczek opłatka trzymanego przez Mamę, potem ona od Ojca. Wymieniając uściski, serdecznie się całowali, składając sobie najlepsze życzenia. Rytuał ten powtarzali ze wszystkimi dziećmi i ze służbą, przy czym podnosił się zgiełk i gwar, bo kolejno każdy podchodził do każdego, dzielił się cząstką opłatka i wypowiadał życzenia.

Po tej tradycyjnej ceremonii mogliśmy zasiąść rodzinnie do stołu, razem ze służbą. Spożycie wieczerzy wigilijnej w serdecznej, miłej atmosferze trwało ponad 3 godziny. Początkowo w skupieniu delektowaliśmy się różnorodnymi potrawami, potem zaczynały się ożywione rozmowy. A że przy stole zasiadało zwykle około 12 osób i każdy chciał wygłosić coś poważnego lub zabawnego, wybuchy śmiechu, gwar dorosłych, szczebioty dzieci nie ustawały. Przy słodkich deserach wesołe humory jeszcze się potęgowały, mimo iż wina, piwa ani żadnego innego napoju alkoholowego nie podawano.

Po odmówieniu modlitwy dom zaczynał rozbrzmiewać tradycyjnymi od wieków, najpiękniejszymi polskimi kolędami, skocznymi pastorałkami, a nawet patriotycznymi pieśniami. Akompaniowały nam instrumenty: akordeon (grał na nim parobek), mandolina (rozbrzmiewająca pod zwinnymi palcami służącej) i harmonijka ustna (donośna, dzięki wysiłkom brata Franka).

Wreszcie mogliśmy zbliżyć się do majestatycznej choinki, strojnej w barwną szatę bombek, aniołków i świec, a także girland i gwiazdek, zrobionych przez dzieci z kolorowej krepiny lub błyszczącej bibułki; naturalnie nie brakowało też zawieszonych orzechów włoskich oraz czekoladek i cukierków w srebrnych, złotych i »»»

»»» kolorowych papierkach. Pod choinką czekały upragnione prezenty. Zamieszanie, popychanie, zgiełk i harmider trwały kilka dobrych minut. Potem następowało oglądanie gwiazdkowych niespodzianek przy zapalonych świecach i zimnych ogniach.

Następnie, zgodnie z tradycją, przygotowywało się gościnę dla wigilijnych wędrowników. Na Mszę świętą, pasterkę, odprawianą o północy spieszyły do naszego kościoła tłumy wiernych z okolicznych wiosek i miasteczek. Niektórzy szli ponad 10 kilometrów w mroźny wieczór, po polach i drogach zawianych śniegiem, aby uczestniczyć w pasterce – dla tych przybyszy z odległych domostw mieszkańcy Iwia przygotowywali ciepły, lekki posiłek i posłanie.

W naszym domu od dziada pradziada przyjmowano wigilijnych gości. Szykowaliśmy więc gorące napoje i ciasto drożdżowe dla kilkudziesięciu osób, a także posłania ze snopków słomy, rozłożone na podłodze w dwóch rzędach. Na tej słomie przybysze, z jednej strony kobiety, a z drugiej mężczyźni, mogli sobie odpocząć na leżąco, ogrzać się. Przed północą wszyscy gromadnie szliśmy do pobliskiego, rzęsiście oświetlonego kościoła. Idąc śpiewaliśmy kolędy.

Wkrótce cały kościół rozbrzmiewał kolędami oraz żarliwymi modlitwami wiernych. W mojej pamięci zapisał się szczególnie jeden moment – już z końcowej części owych pasterek; kościoły nie miały ogrzewania, zimno przejmowało do szpiku kości, a szczególnie marzły nogi. Po zakończeniu Mszy świętej do gromkich dźwięków organów, chóru kościelnego oraz śpiewów ludu dołączało się tupotanie i postukiwanie buta o but, aby ogrzać stopy. Tworzyła się wtedy potężna, przedziwna orkiestra i nigdzie niespotykana, wspaniała harmonia dźwięków. Po uroczystości kościelnej niektórzy z wigilijnych wędrowników wracali do nas, by w cieple słomianej pościeli przespać do rana.

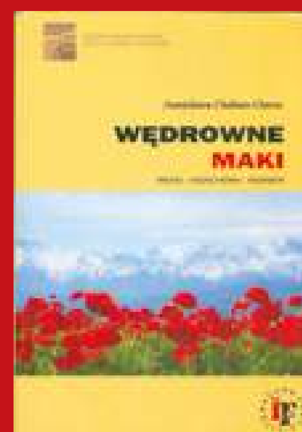
Zwykle sam dzień Bożego Narodzenia upływał w gronie rodzinnym. Po sumie bawiliśmy się otrzymanymi zabawkami. W godzinach popołudniowych oczekiwaliśmy wędrownych kolędników. Z zaciekawieniem i pewną trwogą oglądaliśmy zaciętą, niebezpieczną walkę strasznego czarnego Belzebuba, uzbrojonego w groźne widły, z białą Śmiercią, wymachującą ostrą, srebrną kosą na długim kiju. Do boju dołączał się powiewny, złocisty Archanioł, który szerokimi skrzydłami rozbrajał i rozganiał walczących. Śmiech radości wybuchał wśród nas, małych widzów, po zażegnaniu owej komicznej, prostej w ludowym ujęciu wojny. Trupa kolędników chodziła od zagrody do zagrody, aby rozweselać gospodarzy i zbierać datki pieniężne. Podążającej za nimi dzieciarni wciąż przybywało, oklaskiwała burzliwie występy i zbierała rzucane cukierki oraz inne łakocie.

Posłowie

Gorąco polecam Drogim Czytelnikom książkę autorstwa Stanisławy Chobian-Cheron «Wędrowne maki», wydawnictwo ulaya.pl 2015 r. (Bartniki, 22, 11-106 Kiwity). Książka ta została wyróżniona przez Instytut Pamięci Narodowej w konkursie «Prawda i Pamięć». Książkę przeczytałam jednym tchem – autorka potrafi barwnie malować słowem, kreować emocje i operować odcieniami kresowej polszczyzny. Każdego czytelnika ładuje optymistyczną wizją świata wbrew wszystkiemu, wiarą w moc Opatrzności, w moc dobra. Pani Stanisława po tak dramatycznym życiu, pełnym nieszczęść, przeszkód i ciężkiej pracy, jest osobą pogodną, uśmiechniętą, pełną radości. Mając 89 lat wygląda młodo, rześko, ma zgrabną wysportowaną sylwetkę, radosne, ciepłe spojrzenie. Chodzi po górach, podróżuje, darzy miłością i optymizmem swoich przyjaciół i krewnych. Potrafi docenić każdą chwilę życia, każdą małą radość. Jest świadectwem i dowodem na to, że człowiek, jeśli ma miłość i wiarę, jest w stanie wszystko pokonać, przetrwać i zwyciężyć.

Stanisława Chobian-Cheron w swojej książce «Wędrowne maki» opisała swoją drogę życiową oraz swojej Matki, przekazującej wiarę, miłość i chęć czynienia dobra dla innych. Mama pomagała Żydom w

ich ucieczce z getta, organizowała w swoim domu tajne nauczanie w języku polskim. Stanisława wraz z bratem Jankiem lata 1952-1955 przeżyła na zesłaniu w Kazachstanie. W czasie wojny jej rodzina i krewni należeli do AK, a wuj Wiktor Korycki był dowódcą 2. Wileńskiej Brygady AK. Lata powojenne były dla Stanisławy i jej rodziny czasem poniżającej niewoli na «nieludzkiej ziemi». W nieprawdopodobnie trudnych warunkach zdobyła dyplom i została lekarzem. Opowieść o tych wydarzeniach jest dowodem, jak wiele można osiągnąć siłą charakteru i wiarą w swoje możliwości. Mijały lata, rodzina Stanisławy wyjechała do Polski w ramach repatriacji. A później, z sowieckiej Polski dostała się do Francji. W roku 1970 w wieku 43 lat, bez znajomości języka francuskiego, Pani Stanisława zaczyna studia medyczne w Nancy. Pokonuje i tę przeszkodę, by pracować jako pełnoprawny lekarz. Mając już opanowaną znajomość języka francuskiego, otwiera własny gabinet jako specjalista-reumatolog. Potem, po latach, był ciężki wypadek samochodowy. A po 68 roku życia przeszła kilka operacji z powodu nowotworu. Odzyskała zdrowie i wróciła do dobrego poczucia i optymizmu. Jak pisze w przedmowie do książki Alicja M.Rudniewska, Niezachwiana wiara w opiekę Opatrzności i Najświętszej Matki Bożej Ostrobramskiej, której zawierzyła swój los i los najbliższych, pozwoliła nie załamywać się... W słowie wstępnym Wiesław Jan Wysocki reasumuje: «Rzadko zdarza się, by po tak obolałej i okrwawionej przeszłości człowiek nie stał się trybikiem potwornego mechanizmu, a przeciwnie – wyszedł ze szlachetną i optymistyczną wizją marzyciela, ufającego w moc dobra i głęboką wiarę, w siłę tego, co stanowi o istocie polskości».



Drodzy Czytelnicy! Dziękujemy Wam, że byliście z nami w tym roku.

Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, dobiega końca 2016 rok. Pragniemy u progu naszych Godów objąć Was wszystkich naszą pamięcią, miłością, zapewnić w naszym oddaniu i szacunku, podziękować za Wasze wielorakie wsparcie , za wierność swoim małym ojczyznom. Życzymy Wam, aby przychodzący Zbawiciel obdarzał każdego z Was łaską zdrowia, mądrości, roztropności i siły. Niechaj wnosi w Wasze rodzinne domy przebaczenie, dobro i pokój. Niech miłość Chrystusa, narodzonego w Betlejem, umacnia wszystkich na Święta Bożego Narodzenia i na cały Nowy Rok 2017.



Poświęcenie nagrobków

«NEKROPOLIA KATOLICKA W BRZEŚCIU»

PREZENTACJA PIERWSZEGO PRZEWODNIKA

10 listopada na katolickim cmentarzu w Brześciu odbyło się uroczyste poświęcenie nowo odrestaurowanych nagrobków wojskowych i cywilnych. Stało się to możliwe dzięki wsparciu Senatu RP oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP. Następnie odbyła się prezentacja pierwszej publikacji o nekropolii katolickiej w Brześciu.

Program rozpoczął się od wspólnej modlitwy w intencji poległych i wszystkich zmarłych, oraz poświęcenia nagrobków.

Przybyli goście zwiedzili cmentarz wspólnie z brzeskim krajoznawcą i autorem publikacji «Nekropolia katolicka w Brześciu» Iwanem Czajczycem. Opowiedział on o historii cmentarza, a także o wybitnych ludziach, spoczywających w tym miejscu.

«Muzeum na wolnym powietrzu – tak można nazwać nekropolię katolicką w Brześciu, gdzie zachowały się niezwykłe przykłady architektury nagrobnej z połowy XIX – początku XX wieku. Na terenie cmentarza można odnaleźć pełne symbolizmu dzieła wykonane w różnych stylach i technikach, m.in. pełnowymiarową rzeźbę Chrystusa, pomniki z figurami Matki Bożej i anioła, płaskorzeźby portretowe, kaplice, krypty rodzinne, pomniki w postaci płyt żeliwnych, stylizowane drewno z obciętymi gałęziami, stele i wiele innych obiektów architektury funeralnej.»

Następnie uczestnicy uroczystości udali się do siedziby Konsulatu RP, gdzie odbyła się prezentacja publikacji «Nekropolia katolicka w Brześciu», opracowanej przez Iwana Czajczyca – badacza oraz wielkiego miłośnika historii, dzięki któremu możemy na nowo odkryć to trochę zapomniane, lecz jakże ważne miejsce dla historii

Fragment publikacji «Nekropolia katolicka w Brześciu»





Na wprost od głównego wejścia, po lewej stronie wzdłuż alei znajdują się dwa krzyże wykonane z elementów koła zębatego tankietki oraz ogrodzenie wykonane z gąsienicy czołgu. Tu są pochowani pancerni 4 Batalionu Pancernego, który stacjonował w Brześciu nad Bugiem w latach 30. XX w.

W mogile z zachowanym ogrodzeniem spoczywa rotmistrz Pietraszka (imię nieznane), który zginął podczas ćwiczeń w 1935 roku. Do tej pory nie zidentyfikowano osoby pochowanej w drugiej mogile. Oba krzyże są symbolicznym znakiem pamięci o polskich żołnierzach garnizonu stacjonującego w Brześciu nad Bugiem. Ich groby zachowały się w różnych zakątkach cmentarza.

16



Obok żołnierzy 4 Batalionu Pancernego spoczywa pilot Roman Lampe, który zmarł w 1934 roku. Nad grobem wzniesiono pomnik w postaci śmigła samolotu. Z biegiem czasu drewniane śmigło spróchniało. Do dziś przetrwał tylko stalowy krzyż.

Szymon Kamiński



W latach 1931-1932 na Kijówce została wybudowana szkoła podstawowa nr 3 im. Ks. Biskupa Bandurskiego. Drewniany budynek dwukondygnacyjny przetrwał do dnia dzisiejszego, obecnie mieści się tu przedsiębiorstwo informatyczno-techniczne „Brest WTI".

Dyrektorem szkoły był Szymon Kamiński. Tak go opisał Wasilij Saryczew w książce „W poszukiwaniu czasu utraconego":

„W szkole dyrektorował stary kawaler Szymon Kamiński zamieszkały w pobliżu w drewnianym domku przy ulicy Browarnej (dziś Piwowarna). W 1933 roku do tej szkoły zapisała się Lusia Chomicz. Dziewczynka ta, ukończywszy 6 lat, nie pytając nikogo, wyszła z domu, przeszła na drugą stronę ulicy – na szczęście mieszkali na wprost szkoły – i sylabami przeczytała tekst tabliczek w nieznanym korytarzu,

17

Wspólna modlitwa na cmentarzu katolickim



Iwan Czajczyc - krajoznawca, autor publikacji «Niekropolia katolicka w Brześciu»



Pomnik odrestaurowany w październiku 2016 roku

naszego miasta, jak również dla każdego z nas.

Trzydziestostronicowa broszura poświęcona jest historii katolickiej nekropolii w Brześciu. Publikacja stanowi doskonały przewodnik – zawiera plan cmentarza ze wskazaniem położenia opisanych grobów oraz informacje o osobach tam spoczywających.

«Wartość historyczna i kulturowa cmentarza katolickiego w Brześciu jest niezaprzeczalna. Nagrobki na cmentarzu są bogatym źródłem informacji o poprzednich pokoleniach mieszkańców miasta. [...] Tu wieczny spoczynek znalazły osoby duchowne, uczestnicy powstania 1863 roku, wojskowi armii Imperium Rosyjskiego, żołnierze stacjonujących w Brześciu jednostek IX Okręgu Korpusu Wojska Polskiego, członkowie rodów szlacheckich, na przykład Maria Anna Radziwiłł, wywodząca się z jednego z najbardziej znanych w Wielkim Księstwie Litewskim rodów książęcych, oraz osoby publiczne, politycy, lekarze, urzędnicy i inni mieszkańcy miasta».

Opr. i foto Anna GODUNOWA



Ambasador RP na Białorusi Konrad Pawlik podczas prezentacji w Konsulacie Generalnym RP w Brześciu

«Nekropolia katolicka w Brześciu» jest dostępna w wersji elektronicznej na naszej stronie **www.echapolesia.pl**

PIERWSZY FESTIWAL KULTURY POLSKIEJ W NIEDŹWIEDZICY

Festiwal Kultury Polskiej u nas na Białorusi to wyjątkowe wydarzenie. To coś zupełnie innego niż festiwale kultury polskiej w krajach europejskich, na Ukrainie czy w Gruzji. W tych krajach mogą swobodnie, bez przeszkód działać setki organizacji, władze tych krajów udostępniają sale Domów kultury, animatorzy kultury mogą realizować każdy projekt kulturotwórczy. U nas jest wszystko inaczej. I być animatorem polskiej kultury czy nauczycielem polskim jest niełatwo. Trzeba mieć odwagę i determinację. W naszym kraju, owszem, odbywają się festiwale kultury mniejszości narodowych «w duchu sowieckiego internacjonalizmu», ale w tych oficjalnych przedsięwzięciach większość z nas nie chce uczestniczyć. Pragnieniem naszych kolegów i koleżanek jest zachowanie polskiej kultury i tożsamości, ducha polskiego w małych ojczyznach, szkółkach i parafiach, możliwość kultywowania tradycji ojców, przekazywanie odwiecznych wartości. Takie zadania stawiała również organizatorka I Festiwalu Kultury Polskiej w Niedźwiedzicy Janina Prudnikowa.



Uczestniczki chóru kościelnego w Niedźwiedzicy ze swoim proboszczem Jerzym Mioduszewskim

Festiwal odbył się 8 października, w chłodny jesienny dzień. Dlaczego właśnie Niedźwiedzica? Po pierwsze, dlatego że jest to wieś wyjątkowa. Zawsze była polska, katolicka, niezłomna. O twardych i dzielnych mieszkańcach tej wsi, o ich postawach w okresie zaborów i w czasach sowieckich pamiętają do dziś mieszkańcy Lachowicz i Baranowicz. A tak pisał o Niedźwiedzicy Feliks Konieczny w książce «Święci w dziejach narodu polskiego»:

«W roku 1900 zapanowała wielka radość w okolicach Niedźwiedzicy, bo przyjechał potajemnie przebrany kapłan z Krakowa i we wsi Rusinowiczach przez dwa dni chrzcił, spowiadał, dawał śluby – po czym podążył w inną okolicę, «a za nim płynęły błogosławieństwa ludu i... policja. Wkrótce pewnego wieczora odezwały się dzwony kościelne, po piętnastoletnim milczeniu. Dzwonnikiem była stara Serafina, która zorganizowała naprędce jakiś spisek, żeby zardzewiałe dzwony oczyścić i wysmarować. Chciała pożegnać podzwonnym zmarłego właśnie stryja Jana Kiełbasę, i starowina postawiła na swoim. Zjawiła się zaraz policja, bito nahajkami, lecz nic to nie pomogło. Odtąd dzwony kościelne stale «żegnały wiernych obrońców, opuszczających na zawsze bohaterski posterunek». Niedźwiedziczanom zaproponowano w r. 1903, że dostaną pozwolenie na wybudowanie nowego kościoła, byle stary kościółek oddali »»»



Chór Uniwersytetu Trzeciego Wieku z Brześcia



Chór «Lachowickie stroje»

»»» na cerkiew. Podejrzewali, że to podstęp i nie dali go. Dziewięciu wysłano na Sybir na trzy lata; nic nie pomogło. W następnym roku trzech jeszcze skazano na więzienie w Słucku. (Jedną z trzech wysłanych była babcia organizatorki Festiwalu Maryla Szyszko)

(...)W roku 1905 zaczęła się rewolucja rosyjska. Do Niedźwiedzicy docierały wieści, że rząd rosyjski się chwieje, że nastają jakieś nowe czasy. Uważali, że może to być stosowna pora, żeby naprawić stary kościółek grożący rozwaleniem. Pokryli dach słomą i parli ściany. Pracowano nad tym trzy dni i trzy noce, a stanęli do roboty dosłownie wszyscy, starcy i dzieci. Było to pod koniec sierpnia 1905 r. Trzeciego dnia zjawiają się władze powiatowe, potem gubernialne i aż dwie roty wojska. Ludność modliła się spokojnie przed zamkniętymi drzwiami kościoła, żołnierze zestawili broń w kozły, a oficerowie nie wiedzieli, co począć, bo żadnego buntu nie widzieli. Aż ósmego września z rana wojsko otoczyło kościół, a «sprawnik» powiatowy oznajmił, że z pomocą popa wyniesie Przenajświętszy Sakrament i sprzęty kościelne. Wśród tłumu zerwał się groźny pomruk. «Jednomyślnie postanowiono dać się zagrzebać pod gruzami kościoła, krwią go swą oblać, zginąć najokropniejszą śmiercią – ale nie oddać, nie oddać!»

Wtedy przyjechali nagle dwaj kapłani, szanowani przez lud, ks. Harasimowicz z Klecka i ks. Wańkowicz z Darewa, łacinnicy, i lud uspokoił się od razu. Nie zawahali się zgromić publicznie «sprawnika», któremu widocznie zależało na tym żeby doprowadzić do rozlewu krwi. ...Nie lepiej było w biurach gubernatora, do którego na próżno jeździli, żeby cofnął wojsko. Pojechał więc ks. Harasimowicz aż do Petersburga i tam przez trzy tygodnie biegał po ministerstwach. Minęły trzy tygodnie i jeszcze sprawy nie załatwili; widocznie i tam nie brakowało ludzi o złych zamiarach. Sprawą zainteresowały się gazety petersburskie, a wszystkie oświadczyły się przeciwko urzędom. Nareszcie kazano wycofać wojsko, a dnia 28 października 1905 r. car wydał ukaz, żeby kościółek niedźwiedzicki otworzyć dla kultu katolickiego.

W Niedźwiedzicy zaś, gdy pozwolono zdjąć pieczęcie i wejść do starego kościółka, lud, nie ufając

urzędnikom, nie zrobił tego przy nich i dopiero, gdy policja się usunęła, dano ks. Harasimowiczowi otworzyć kościół. Dnia 20 listopada odbyło się pierwsze nabożeństwo, na które zjechała cała okolica, a ks. Wańkowicz obwieścił z ambony, że «oto wszyscy obecni znajdują się na miejscu cudu. Bóg okazał widocznie łaskę swoją, Hostia św. w ołtarzu, z takim poświęceniem broniona, została znaleziona tak świeża i nietknięta czasem, jak gdyby wczoraj konsekrowana, a nie przed laty 19». Na tym nabożeństwie nawet najbardziej zahartowani mężczyźni płakali, jak dzieci.»

Tu, kilometr od Niedźwiedzicy, urodziła się Krystyna Krahelska, słynna Warszawska Syrenka. Urodziła się 24 marca 1914 r, była córką oficera, później – wojewody poleskiego Jana Krahelskiego. Krystyna chodziła do szkoły w Niedźwiedzicy, szkoła stoi do dziś.

Wybitną postacią związaną z tą wsią, jest Wacław Piątkowski, proboszcz parafii od roku 1948, który w najgroźniejszym okresie sowieckim uczył miejscowe dzieci i młodzież relegii, języka polskiego, kultury i tradycji. 2 grudnia 1950 r. został aresztowany i skazany na 10 lat łagrów. Po powrocie przyjechał do swojej wsi. Uczył dzieci nie tylko z Niedźwiedzicy, ale i z Lachowicz, z okolicznych wsi i miasteczek. Pani Janina Prudnikowa wraz z rodzeństwem też uczęszczała na te zajęcia, była przygotowywana do Komunii Św., co było w latach sowieckich całkowicie zakazane i mogło kosztować księdzu kolejnego zesłania. Ksiądz Piatkowski przygotowywał po kryjomu również młodych chłopców, przyszłych księży. W listopadzie w Niedźwiedzicy będzie obchodzone 25-lecie śmierci legendarnego księdza.



Podczas Festiwalu – Jerzy Grymanowski, Konsul RP w Brześciu z twórczyniami ludowymi z ziemi lachowickiej

Niedźwiedzica pamięta o dzielnych mieszkańcach z rodziny Szyszko, Kancelarczyk, Gładkich, Grzyb czy Swirepo – ci ludzie w różnych okresach bronili swojej ziemi, wiary i godności, rzucając na stos swoje losy.

W roku 1897 w Niedźwiedzicy mieszkało 913 osób, obecnie mieszkają tylko 102, przeważnie są to osoby starsze. Kościół pozostaje dla nich ostoją wiary i ostatnią wyspą polskości. Proboszczem Parafii jest ksiądz Jerzy Mioduszewski. Gościem Festiwalu był również ksiądz Stanisław Maleńki z Lachowicz

W tym właśnie kościele odbył się Festiwal Kultury Polskiej. Było zimno. Zziębnięte twórczynie ludowe rozkładały swoje prace: wyszywanki, obrazy, wyroby ze słomki, z drzewna, florystyki. Gospodynie z Nowej Myszy przywiozły cały stragan ciast, wypieków regionalnych.

Podczas Festiwalu wysłuchaliśmy pięknych polskich piosenek w wykonaniu grup wokalnych «Lachowickie stroje» i «Matczyna piosenka», chóru «Kraj Rodzinny» z Baranowicz, chóru «Uścisk dłoni» z Brześcia, chóru parafialnego z Nowej Myszy, innych chórów i zespołów. Dzieci recytowały polskie wiersze. Wszystkich uczestników i gości wzruszyło wystąpienie najstarszych parafianek z Niedźwiedzicy, które wykonały trzy pieśni religijne. To one są chronicielkami tradycji i wiary, najwierniejsze i najpilniejsze, w każdą pogodę obecne w kościele. Polskie chóry i zespoły są prawdziwymi ambasadorami polskości w swoich miastach i wioseczkach. Są obecni na wszystkich odpustach, festynach, na uroczystościach okolicznościowych, chronią polskiego ducha i niosą go ludziom. Widziałam te występy w zamarzniętych dalekich kościółkach, mieszkańcy tamtych wsi potem przez rok pamiętali to wydarzenie jak największe święto. Chóry i zespoły polskie często czynią więcej dla rozwoju polskiej kultury niż organizacje polskie, często zbiurokratyzowane i mało skuteczne. Zespoły i chóry polskie bez wątpienia potrzebują wielorakiego wsparcia z Polski.

Mieszkańcy Niedźwiedzicy i okolicznych wsi mają nadzieję, że takie festiwale będą organizowane w przyszłości.

Opr. red.



NA MIODOWE DOŻYNKI DO KSIĘDZA JANA

Piękny niedzielny dzień złotej polskiej jesieni 16 października b.r. w parafii pw. Matki Bożej Anielskiej w miejscowości Horoszki Duże (powiat siemiatycki) stał się okazją, by podziękować Bogu za tegoroczne plony sadu, pracy rąk ludzkich oraz pszczelego roju poprzez święto dziękczynienia, tak zwane dożynki miodowo-jabłkowe.

Na zaproszenie proboszcza parafii księdza-kanonika Jana Wasilewskiego na tę uroczystość przybyła delegacja Polaków z Peliszcz, Prużany i Brześcia, która także przywiozła ze sobą dary – miód z Puszczy Białowieskiej dla księdza-biskupa oraz chleb dla księdza-proboszcza.

Uroczystości dożynkowe, które odbywały się podczas mszy Św. w niedużym, ale bardzo przytulnym i pięknie wystrojonym drewnianym kościółku stały się wyjątkową okazją, by publicznie podziękować (takiej sposobności bowiem nie było wcześniej – red.) księdzu Janowi Wasilewskiemu za jego prawie 25-letnią posługę duszpasterską na Białorusi. W imieniu delegacji z obwodu brzeskiego głos zabrał nauczyciel języka polskiego z PSS im. I. Domeyki w Brześciu Wiktor Mironow, który nie pozostawiając obojętnych na Sali w krótkim, ale bardzo wzruszającym przemówieniu, z serca płynącymi słowami przekazał księdzu Janowi naszą wdzięczność.

Wzniosły nastrój podczas drogi powrotnej do Brześcia, radość życia i ufność w Bogu, którymi potrafi «zarazić» ksiądz Jan każdego, kto z nim obcuje, a także poczucie spełnionej misji sprawiły, że mimo granicy droga ta była krótka i lekka. I nawet świadomość tego, że o tak wielu wspaniałych księżach z Polski, wstydliwie milcząc, nie chce pamiętać u nas władza ani świecka, ani kościelna już tak bolesna nie była. Bo ważniejsze jest to, że my wszyscy, zwykli ludzie, o nich pamiętamy oraz jesteśmy im wdzięczni.

Eugeniusz LICKIEWICZ



HISTORIA W CEGLE



Każde miasto ma swoje dzieciństwo, młodość i dojrzałość. A nawet starość. Brześć nad Bugiem niestety nie zmógł przebyć tej drogi życiowej, ponieważ jak wiadomo – musiał na nowo się narodzić. I znowu powrócić, jak na początku swojego istnienia, do zabudowy drewnianej, z tą jednak różnicą, że pierwsze zaprojektowane domy dla przesiedleńców budowano nawet nie z bali drewnianych, a z desek. Mimo to młodość do Brześcia jeszcze raz powróciła – kiedy w mieście rozpoczęto budownictwo monumentalne. A bohaterem nowego budownictwa stała się cegła.

Po rozpoczęciu w Imperium Rosyjskim na skalę masową budownictwa z cegieł, w połowie XIX wieku został wprowadzony odpowiedni standard na ich wyrobnictwo: «Regulamin produkcji cegieł w państwowych i prywatnych zakładach», zgodnie z którym m.in. każda cegła musiała być oznakowana stosownym stemplem producenta.

W 1833 roku we wsi Gierszanowicze, przy już istniejącym zakładzie produkcji cegieł, wybudowano jeszcze dwie hale z dwoma piecami (z cyklem nieprzerwanym) dla wypalania cegły oraz dodatkowe domy dla pracowników, ogółem – 8 zabudowań. Tak się zaczynała historia zakładu produkcji cegieł, który stał się ich głównym dostawcą podczas budownictwa Twierdzy Brzeskiej. Od miejscowych chłopów »»»







»»» kupowano działki z pokładami gliny; trwała nieustająca modernizacja zakładu, mająca na celu nadążenie za wzrastającym zapotrzebowaniem na cegły (na przykład, w roku 1873 wyprodukowano tutaj 3 mln. szt. cegły). Zakład ten przetrwał do 1915 roku.

Olbrzymie pożary w Brześciu w maju 1895 i kwietniu 1901 roku przyczyniły się do tego, że miejskie władze musiały oddać priorytet kamiennej zabudowie odnawianego ze zgliszcz miasta. W 1905 roku ilość murowanych budynków wynosiła już 1350, a w okolicach miasta produkcja cegieł odbywała się w 21 zakładach.

O tym wszystkim mieszkańcy oraz goście Brześcia mogli się dowiedzieć na wystawie «Historia w cegle», która odbyła się latem b.r. w Obwodowej naukowo-technicznej bibliotece. Nie tylko w Brześciu, ale i na Białorusi podobnej wystawy jeszcze nie było. Ekspozycja składała się z 60 eksponatów zabytkowych cegieł, dachówek i kafli zebranych na terenie Brześcia przez miłośników historii Siergieja Grinia, Nikołaja Żernosieka i Iwana Czajczyca. Wystawę upiększały i uzupełniały fotografie Olega Malejki, na których zobaczyć można było na kolorowych zdjęciach do tej pory istniejące kamienice Brześcia, natomiast utracone i już nie istniejące budynki pokazano na czarno-białych, archiwalnych fotografiach.

Na wystawie eksponowano wzory cegieł z okresu XIV-XVI w. z bruzdami od palców mistrza, a nawet cegły z przypadkowymi śladami dzikich i domowych zwierząt;





cegły ceramiczne i żaroodporne, wytworzone pod koniec XIX – początku XX wieków w państwowych i prywatnych cegielniach w okolicach Brześcia. Dziś nie da się ustalić, ile cegielni funkcjonowało na Białorusi, np. sto lat temu, ponieważ zagadnienie to jest mało zbadane, ale też dlatego, że wytwórców cegły było naprawdę dużo. I każdy z nich z dumą znakował każdą wyrobioną cegłę. Choć trzeba zaznaczyć, że już i wówczas miały miejsce podróbki znanych i cenionych marek, jak np. cegieł żaroodpornych «LONDYN», «PARIS», «RAMSAY» i innych.

Niektóre eksponaty wystawy można śmiało zaliczyć do unikatowych – jak na przykład cegłę z… soli, którą dostarczył Nikołaj Żernosek. Oto co opowiedział: «Kilka lat temu nasza firma badała stan techniczny kompleksu zabudowań we wsi Jasiołda w rejonie pińskim w celu sprawdzenia możliwości wykorzystania ich na potrzeby budowanej strefy wypoczynkowej. Właściciele obiektu zdecydowali o likwidacji jednego z budynków, stan którego nie pozwalał na jakąkolwiek rekonstrukcję. Lecz pod budynkiem, w piwnicy, znaleźliśmy pomieszczenie, ściany którego były wyłożone cegłami z soli. Moim zdaniem, ta piwnica służyła nie do przechowywania zapasów żywności, lecz była wykorzystywana w celach leczniczych. Wiadomo bowiem, że jeszcze w XIX wieku polski lekarz Feliks Bociszkowski zwrócił uwagę na ten fakt, że górników z kopalni soli praktycznie nie dotykają choroby dróg oddechowych. Od tego czasu groty solne zdobyły popularność i uznanie na całym świecie.»

Geografia miejsc produkcji tych lub innych materiałów budowlanych, co trafiały do Brześcia w różnych okresach, zdumiewa swoją różnorodnością: dachówka z Krakowa ze stemplem «Płaszowska Fabryka Dachówek i Cegieł S.A. w Krakowie», dachówka z Niemiec «LOUISENWERK A.G. VOIGTSTEDT», cegły ceramiczne «T.Głowacki. Ostrowiec 1764», płytki ceramiczne «Dziewulski&Lange» (dzisiaj słynna marka «Opoczno»), płytki ceramiczne «K.G» (inicjały właściciela zakładu Kazimierza Granzowa i in.

Ciekawymi eksponatami były również cegły i kafle wyprodukowane w okolicy Brześcia: cegły ceramiczne marki «Э.ГАНЪ» (cegielnia Emanuela Gana, w. Guzni), cegły ceramiczne «ИД» (cegielnia Ignacego Dureka, w. Guzni), kafle «S.BELKES» (Wytwórnia Kafli w Brześciu n/B. ul. Szpitalna Nr.15 Samuel Belkies).

Zabytkowa cegła z wyrytym znakiem to nie jest jakiś zwykły wyrób, lecz to produkt z gwarancją wysokiej jakości. I gwarancja ta jest wypróbowana czasem, sprawdzona nieraz w ciągu stuleci. A dotykając takiej cegły – dotykamy realnej historii. Wystawa «Historia w cegle» odniosła wielki sukces w Brześciu, obecnie gości w m. Prużany w muzeum «Prużański Pałacyk».

Iwan CZAJCZYC,
Tłum. Eugeniusz LICKIEWICZ

ECHA NASZYCH PUBLIKACJI


Emilia Kozłowska, 1933 lub 1934 r.

Drodzy Czytelnicy,

W Nr1 «Ech Polesia» za 2015 r. w rubryce «Historia jednej fotografii» opublikowaliśmy fotografię młodej nauczycielki Emilii z Hołubickich Kozłowskiej, jej legitymację nauczycielską. Emilia Hołubicka urodziła się w 1909 r. w Zabłociu koło Nowej Myszy, po ukończeniu seminarium w Nieświeżu w 1929 r. pracowała jako nauczycielka. Najpierw w Dobrej Woli, potem w Jaroszewie, a w roku 1934, po wyjściu za mąż za Pawła Kozłowskiego, w Bałabanowiczach, w gminie Nowa Mysz. Syn nauczycielki Krzysztof Kozłowski, mieszkający obecnie w Baranowiczach, zwrócił się do Czytelników z prośbą o wspomnienia starszych mieszkańców Nowej Myszy i Bałabanowicz, którzy być może pamiętają te lata i byli uczniami Emilii Kozłowskiej. Odezwała się Helena Keba oraz Michał Korniej, dawni uczniowie. Dzięki tym relacjom powstaje piękny obraz polskiej kresowej nauczycielki w dwudziestoleciu międzywojennego, poznajemy także szkolny świat naszych dziadków. Dziś mamy przyjemność zaprezentować Drogim Czytelnikom ich wspomnienia oraz fotografie z archiwum Krzysztofa Kozłowskiego.

MICHAŁ KORNIEJ. 80 LAT TEMU

Pomyślałem, czy wielu z nas, starszych ludzi w wieku 80-90 lat pamięta swoją pierwszą nauczycielkę. Ja – pamiętam. Po pierwsze dla tego, że w moim rodzinnym albumie na zdjęcia na pierwszej stronie zamieszczona jest fotografia wszystkich klas mojej szkoły w Bałabanowiczach z roku 1939. W centrum – moja pierwsza nauczycielka Emilia Kozłowska. Po drugie, obok jej domu w Nowej Myszy chodziłem w późniejszych latach codziennie do szkoły powszechnej, do klas starszych. Dla mnie i


Michał Korniej - od prawej, Krzysztof Kozłowski, syn nauczycielki- od lewej


Koniec roku szkolnego

dla moich rówieśników była ona «Pani Nauczycielka», nie znaliśmy wtedy jej imienia ani nazwiska. Darzyliśmy ją wielkim szacunkiem i autorytetem. Mieszkała ona 2,5 km od szkoły w Bałabanowiczach, ja zaś w Borowcach – 1,5 km od szkoły. Pamiętam jak dziś nasze pierwsze spotkanie w sierpniu 1938 r. Poszedłem z mamą do Nowej Myszy, do nauczycielki Kozłowskiej by zapisać się do pierwszej klasy. W 1937 roku mnie nie przyjęto, gdyż urodziłem się 5 grudnia i brakowało kilku miesięcy do siedmiu lat. Przez ten rok nauczyłem się liczyć do 20, rozwiązywać zadania z matematyki, poznałem litery i nauczyłem się czytać, korzystałem z podręczników dla I klasy, lubiłem je przeglądać i czytać. «No co, Michale, chcesz do szkoły?» – zapytała nauczycielka z dobrym uśmiechem. Potem był sprawdzian – liczyłem do 20 i z powrotem, czytałem, rozwiązałem zadanie matematyczne bez zapałek (dzieciom pozwalano do liczenia korzystać z zapałek). «Bardzo dobrze», – powiedziała Pani Nauczycielka i zapisała mnie od razu do klasy II. Poznając naszą Panią Nauczycielkę bliżej, doświadczyłem jak była subtelna i wrażliwa, zawsze rozumiała co się dzieje w duszy dziecka, mogła ujrzeć w każdym jego zdolności i talenty i je rozwijać.

1 września 1938 r. Ja siedzę w naszej klasie w pierwszym rzędzie, w drugim rzędzie w tej samej klasie siedziały dzieci z klasy I. W klasie zawsze była cisza, jedni pisali, drugim Pani Nauczycielka tłumaczyła. Nigdy nie usiadła w krześle, zawsze chodziła po klasie, podchodząc do każdego, kontrolując proces nauczania. Uczyliśmy się do południa, po południu przychodzili »»»



Emilia Kozłowska z uczniami w Dobrej Woli, 08.05.1031 r.

»»» uczniowie klas III i IV. Nie widziałem by w czasie przerwy nauczycielka odpoczywała czy jadła posiłek. Po naszych zajęciach ona prowadziła dodatkowe zajęcia z dziećmi słabszymi, które nie radziły sobie z czytaniem i pisaniem. Widać było, że nasza Pani Nauczycielka kocha swoją pracę. Była sprawiedliwa i odpowiedzialna, jako dziecko to rozumiałem. Dzięki Niej poznawaliśmy świat przyrody, elementy geografii, nauki o społeczeństwie. To ona chodziła z nami w nasze pierwsze piesze wycieczki i wyprawy. Pierwsza wycieczka była do Gincewicz, do szkoły znajdującej się 1,5 km od Bałabanowicz. Pamiętam, jak szliśmy z proporczykami, śpiewaliśmy całą drogę piosenki, których nas nauczyła podczas lekcji. Następna wyprawa była do mostu kolejowego przez rzekę Myszankę, odległość też 1,5 km. Wydawało się, co można opowiedzieć o moście kolejowym. Pani nauczycielka tłumaczyła, kiedy, przez kogo i w jakim celu został zbudowany.

Trzecia wycieczka była dla mnie najważniejsza, a jak się okazało w przyszłości, zaważyła na moim losie. Była to wystawa prac uczniów klas starszych. Czego tylko tam nie było: wykonane przez uczniów modele samolotów, czołgów, samochodów. Ja stanąłem jak zaczarowany przed wielkim modelem wojskowego żaglowca. Wszystko jak u prawdziwego: i maszty, i armaty po bortach. Razem z przyjacielem stałem i wyobrażałem, jak płynie prawdziwy żaglowiec przez morza



Młoda nauczycielka z uczniami i rodziną osadnika Ćwiczyńskiego w Dobrej Woli

i oceany, jak odwiedza różne kraje, wyspy i półwyspy. Od razu potem zacząłem dużo czytać o morzu, o statkach, morskich podróżach, o admirałach, morskich bitwach. Po latach, w 1953 roku skończyłem wojskową wyższą szkołę morską w Rydze.

Pamiętam nasze szkolne święta i uroczystości, akademie. Szczególnie zapadły w serce obchody Bożego Narodzenia i Nowego Roku w 1939 r. Każdy z nas miał zrobić swoją ozdóbkę na szkolną choinkę, wykonywaliśmy je w domu. Choinka była ogromna, pod sufit. Na niej płonęły prawdziwe świece, elektrycznych świec na choinkę wtedy nie mieliśmy. Na Sali było jasno – paliły się świece i lampy naftowe. Było pięknie i uroczyście. My, chłopcy, byliśmy w kołpakach krasnoludków i z białymi brodami z waty, dziewczynki były aniołkami, chodziliśmy dookoła choinki, śpiewając i tańcząc. W pewnym momencie moja krasnoludkowa broda dotknęła świecy na choince i zaczęła się palić, nauczycielka natychmiast zareagowała i w sekundę zgasiła brodę.

Pamiętam jeszcze jeden fragment z mojego szkolnego życia z wiosny 39. roku. Cała żuława rzeki Myszanki była zalana wodą wysokością do 2,5 m. W drodze do szkoły, przechodząc przez most, postanowiliśmy z chłopakami wskoczyć na kry, płynące przez burzliwą i niepokorną rzekę. W rękach mieliśmy pałki. Ale kry zaczęły wirować, ruszać się ku środkowi rzeki. Cudem udało się nam wydostać na skrawek »»»

»»» ziemi. Przemoknięci, nie mogliśmy pójść w takim stanie do szkoły, poszliśmy do pobliskiego domu pewnej kobiety, która ogrzała nas, podsuszyła nasze ubrania na piecu-burżujce, dała gorącej herbaty. Do szkoły spóźniliśmy się o godzinę. Za opóźnienie zostaliśmy ukarani staniem w kącie na kolanach. Po jakimś czasie do nauczycielki przyszła kobieta, do której chodziliśmy, opowiedziała o naszych przygodach. Widać było, jak nasza Pani Nauczycielka była zmartwiona, jak to przeżywała. Po czym pozwoliła nam wstać i wrócić na swoje miejsca. Po zakończeniu roku szkolnego zebraliśmy się do wspólnego zdjęcia. Myślę, że miejsce i kompozycję wybrała sama nauczycielka – nie obok szkoły, a w końcu głównej ulicy na wsi, gdzie rosły piękne wiekowe lipy. Jak rozumiem dziś, po 80 latach, moja Pani Nauczycielka była nie tylko nauczycielką, ale też dobrym organizatorem, administratorem, wychowawcą, animatorem kultury i naszym aniołem-stróżem. Wątpię, że w dzisiejszych czasach można spotkać takiego nauczyciela. Ja w swoim przedwojennym dzieciństwie spotkałem. Potem miałem innych nauczycieli, inne szkoły, swojej pierwszej nauczycielki nigdy więcej nie spotkałem.

O sobie. Urodziłem się 5 grudnia 1930 r. W 1961 r. skończyłem Instytut Inżynierów Transportu Wodnego w Leningradzie. W 1970 obroniłem doktorat w Instytucie Narodowej Gospodarki w Mińsku, pracowałem tam jako docent. Napisałem 15 podręczników. Obecnie jestem na emeryturze i mieszkam w swojej rodzinnej wsi Borowcy.

HELENA KEBA. WSPOMNIENIA Z LAT SZKOLNYCH

Nazywam się Helena Keba. Urodziłam się w 1926 roku we wsi Przyjezierne (dawniej Bałabanowicze).

W 1934 roku poszłam do polskiej szkoły podstawowej. W tamtym czasie nie było specjalnie przydzielonego budynku, więc zajęcia odbywały się w domu Feodosji Caruk, a potem u Pana Ignacego Witeń.



Helena Keba, była uczennica Emilii Kozłowskiej

Nasza nauczycielka miała na imię Emilia Kozłowska. Pracowała sama w dwie zmiany. Z rana uczyły się 1 i 3 klasa, po południu – 2 i 4. Dzieci było dużo. Chodzili do nas dzieci ze wsi Borowa i z zaścianka Jaroszuki.

Chociaż tyle lat minęło, a ja wciąż wspominam Emilę Kozłowską. Była to bardzo dobra osoba, o wielkim sercu, prawdziwa wychowawczyni. Była to nauczycuelka od Boga. Lubiła nas bardzo, a my darzyliśmy ją wzajemnym uczuciem. Szanowali ją nasi rodzice.

Pamiętam lekcje z religii. Modliliśmy się przed i po zajęciach. Przychodzili do nas duchowni katoliccy i prawosławni – ksiądz proboszcz Aleszczyk oraz ojciec Piotr Kucharewicz.

Myślę, że w duszy każdego ucznia pozostała pamięć o naszej drogiej nauczycielce Emilii Kozłowskiej. Rzadko można spotkać tak wyjątkowego człowieka – podzieliła się z nami wszystkim co najlepsze, a sama przeżyła takie krótkie życie.

5.08.2016

Do tej pory swobodnie czytam po polsku oraz wszystko rozumiem.

ODNALEŹĆ CZŁOWIEKA

Kto z nas w dzieciństwie nie marzył o tym, by znaleźć skarb? Słowo to najczęściej kojarzy nam się z wielkim, na pół zgniłym, okutym żelazem kufrem, wypełnionym złotymi monetami i ozdobami. Lecz czy tylko złoto chowali ludzie? Pewnie że nie. Często również inne rzeczy były drogie właścicielowi, a niebezpieczeństw było tak sporo, że nie pozostawało nic innego, jak je ukryć. Niestety jednak, wiele z tych rzeczy schowanych z różnych przyczyn nadal pozostaje w ukryciu.

Kiedy mieszkaniec Brześcia Danił Polanski obmyślał niewielką budowę, nawet nie wyobrażał sobie, jakim znaleziskiem to się obróci. Dom na Grajewce, w którym mieszka, został zbudowany jeszcze w roku 1931. Pierwotnie miał służyć jako dom mieszkalny, sklep oraz magazyn. Teraz jest podzielony na trzy mieszkania, dlatego Danił zdecydował na swojej części zrobić przybudówkę. Podczas rozbiórki dachu jemu prosto w ręce spod strychu wypadło niewielkie papierowe zawiniątko. Otworzywszy je, zobaczył pudełko od papierosów «SPORT» i mały paczuszek z granatowego papieru: miał pełną dłoń odznaczeń oraz różnych dokumentów. W taki sposób świadectwa czyjegoś życia okazały się w rękach Daniła Polanskiego. Ponieważ dokumenty zachowały się dobrze, od razu udało się ustalić ich właściciela – okazał się nim Zygmunt Wicherski.

Co się stało z tym człowiekiem, dlaczego musiał ukrywać swoje dokumenty i jaki był jego dalszy los? Pytania te pozostają bez odpowiedzi. A co zrobić ze znaleziskiem? Danił zdecydował dowiedzieć się o losie Zygmunta Wicherskiego, i jeżeli poszczęści, przekazać dokumenty i odznaczenia jego krewnym, jeżeli ich odnajdzie. «Nagrody dziadków powinno przekazywać ich wnukom. Wtedy rosną normalni ludzie» – jest przekonany Danił.

Pragnąc pomóc Daniłowi, też poczyniłem pewne kroki. Na moją prośbę znajomy historyk Konstantyn Strelbicki z Moskwy »»»



Legitymacja członkowska Obozu Zjednoczenia Narodowego





»»» zaangażował do poszukiwań swoich kolegów z Polski. Szczególne zainteresowanie sprawą wykazał historyk Wojciech Beszczyński z Gdańska – to dzięki niemu udało się zidentyfikować wszystkie nagrody i odznaczenia! A za jakiś czas historykom z Poznania udało się dowiedzieć wiele szczegółów z życia Zygmunta Wicherskiego. Urodził się on 1 czerwca 1898 roku, brał aktywny udział w Powstaniu Wielkopolskim podczas wyzwolenia Poznania i okolic – uczestniczył w bitwie o Ławicę, walczył pod Zbąszyniem i Łomnicą, na odcinku Konkolewo-Leszno, a nieco później na odcinku frontu północnego



Zygmunt Wicherski (od lewej) w domu na Grajewce



L. 1970.

LEGITYMACJA.

ODZNAKI „ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ" NADAJĘ:

Żand. Wicherskiemu Zygmuntowi

D-two Żandarm. Polowej.

Legitymacja odznaki dowództwa Żandarmerii Polowej «Za wierną służbę. 1918-1921»

pod m. Szubin, Rynarzewo i Nakło w 4. Kompanii Pułku Poznańskiego, następnie w 10. Pułku Strzelców Wielkopolskich, przemianowanym później na 68. Pułk Piechoty. Dowodził pododdziałem, następnie został plutonowym. Po wojnie pracował w gospodarstwie rolnym, przeszedł na emeryturę, był inwalidą II grupy.

Zmarł Zygmunt Wicherski 24 listopada 1967 roku, jest pochowany w grobowcu





Legitymacja Nr

upoważniająca do noszenia Pamiątkowego Krzyża Z.T.U.P. Wlkp. 1918/19 r.

Imię

Nazwisko

z

Data ur.

Związek Tow. Uczestn. Powstania w Wlkp. 1918/19 r.

Legitymacja upoważniająca do noszenia Pamiątkowego Krzyża «Związek Tow. Uczestn. Powstania w Wlkp. 1918/1919»





№ 96

Legitymacja.

Pan

Wicherski Zygmunt

ma prawo do noszenia

ODZNAKI PAMIĄTKOWEJ

68 PUŁKU PIECHOTY

(10 P. STRZELCÓW WLKP.)

Dowódca 68 Pułku Piechoty:

Legitymacja upoważniająca do noszenia Odznaki Pamiątkowej 68. Pułku Piechoty (10. Pułku Strzelców WŁKP)

rodzinnym na cmentarzu w Poznaniu. Dom Nr. 14 przy ulicy Szamarzewskiego w Poznaniu, w którym mieszkał, zachował się do tej pory. Ojciec Zygmunta – Kazimierz, był właścicielem piekarni, która mieściła się na podwórku domu, a sklep znajdował się od strony ulicy. Niestety, nikt z obecnych mieszkańców domu o Wicherskich już nie pamięta.

Jest bardzo prawdopodobne, że w Brześciu nad Bugiem Zygmunta Wicherskiego zastała mobilizacja 1939 roku, a w domu, w którym znaleziono jego dokumenty i odznaczenia, w ten czas wynajmował lokal. Czy gospodarze domu byli w jakiś sposób z nim spokrewnieni, nie wiemy.

Jak do tej pory – nie udało się odnaleźć kogokolwiek z krewnych Zygmunta Wicherskiego. Wiadomo tylko, że obok niego na cmentarzu Junikowo w Poznaniu jest pochowany i jego syn. Nie traćmy jednak nadziei, ponieważ dalsze poszukiwania wciąż trwają.

Iwan CZAJCZYC

Tłum. Eugeniusz LICKIEWICZ

Z PODRÓŻY REDAKCYJNYCH

Narody, które tracą pamięć, tracą życie.
C.K. Norwid

Podczas ostatniej podróży do polskich miejsc pamięci uświadomiłam sobie, jak często zastanawiam się tam nad pojęciami, wydawałoby się, dosyć pośrednio związanymi z tematem.

Chodzi mi o czas i przestrzeń.

Bo na Polesiu, czas – na codzień nieuchwytny i abstrakcyjny – staje się czymś zupełnie realnym. Można go poczuć, zobaczyć. Będąc w jednym punkcie, tu i teraz, jesteśmy świadkami jednocześnie kilku okresów historycznych.

Większość zabytków na Białorusi stanowi dziś ruinę – opuszczone wsie, zniszczone majątki i dwory, ledwie widoczne stare cmentarze i przydrożne krzyże.

Coraz trudniej je pokochać... Coraz bardziej trzeba.

Gdy chodzę tak wśród wysokich traw i powywracanych kamieni, przed oczami mam człowieka. Mądrego, szlachetnego. Dużo w swoim życiu przeżył, dużo widział... Kiedyś był pełen sił i odwagi. A dziś jest już bardzo stary. Mało kto o nim pamięta, a przecież ma tyle do powiedzenia... Lecz brak mu tchu.

Te setki miejsc, porozrzucanych po naszej ojczystej ziemi patrzą na nas oczami tego starca...

Dziś nadeszła nasza kolej. To my powinniśmy zrobić krok w ich kierunku, otworzyć serca i wchłonąc to wszystko co mają nam do przekazania. Z wdzięcznością i szacunkiem. I pamiętać.

Zapraszam Was do wspólnego odwiedzenia kilku takich wyjątkowych miejsc.

Rakowica – Hremiacze – Szczytniki – Raśna



Wieś Hremiacze, bedąc częścią dóbr wółczyńskich, należała do wielu znanych rodów – Sapiehy, Flemingowie, Czartoryscy, Poniatowscy, Pusłowscy. W XIX wieku te ziemie przeszły w posiadanie książęcego rodu Puzynów



Kaplica rodowa Tołłoczków. Zbudowana w 1908 roku przez ostatniego właściciela Rakowicy – Teodora Tołłoczko

Ostatnim właścicielem Hremiacze był Józef Edward Puzyna. Historyk, poeta, pisarz. Zajmował się badaniem pochodzenia rodów książęcych w Wielkim Księstwie Litewskim («WKL przed Mindogiem»). Autor wierszy lirycznych i satyrycznych, poematów, hymnów

Z góry rozpościera się widok na resztki parku krajobrazowego. Zachowały się pojedyncze okazy jesionów, dębów, świerków błękitnych, drzew morwowych i akacjowych



A przed frontonem dworu – dwa stuletnie modrzewie



Stanisław Tołłoczko (1868-1935) – kawaler orderu Polonia Restituta, doktor filozofii, profesor chemii, autor wielu opracowań i podręczników z chemii organicznej, z których korzystało kilka pokoleń polskich studentów. Po zdewastowaniu kaplicy pochowany ponownie na cmentarzu

Zachowany został oryginalny układ wnętrz. A uczestnicy wyprawy odważyli się nawet wejść drewnianymi schodami wiodącymi na mansardę







Klasycystyczny zbór kalwiński we wsi Raśna. Ufondowany przez ostatnich właścicieli majątku hrabiów Grabowskich



Stary polski cmentarz we wsi Szczytniki Małe. Grób powstańca styczniowego Antoniego Kaliczka

Obecnie w świątyni mieści się magazyn miejscowego kołhozu. A kiedyś spoczywali tu przedstawiciele rodu Grabowskich - cztery sarkofagi oraz sześć krypt. Do dziś zachowały się tylko trzy krypty.

SZLACHETNE SERCE KSIĘDZA WINCENTEGO KURASA


Ks. Wincenty Kuras

Minęło już tyle lat po tragedii, a nawet dziś ciężko sobie wyobrazić, co odczuwali ludzie, których zgromadzono 13 lipca 1942 roku na prawosławnym cmentarzu w Baranowiczach. Na rozkaz niemieckiego oficera esesmani wraz z ukraińskimi policjantami oddawali salwy do bezbronnych więźniów. W trakcie okropnej zbrodni zabito co najmniej czterystu Polaków, wśród nich 17 księży, wielu oficerów Wojska Polskiego, nauczycieli, prawników, lekarzy, farmaceutów, weterynarzy, a także rzemieślników. Ofiary przed egzekucją zmasakrowano na dziedzińcu więzienia i zmuszono do zdjęcia wierzchnich ubrań, pozostawiając jedynie spodnie i koszule, po czym powiązano drutem kolczastym, wrzucono na samochody kryte plandekami i zawieziono na miejsce zbrodni. Tam dwójkami lub czwórkami rozstrzeliwano nad uprzednio przygotowanym dołem. W ten tragiczny dzień, przestrzelone pociskiem kata, przestało bić się serce ks. Wincentego Kurasa. Było to jedno z najbardziej szlachetnych serc na świecie.

Niewiele jest danych o ks. Kurasie za wyjątkiem czterech ostatnich lat życia. Wincenty Kuras urodził się w 1904 roku w Maćkówce (powiat Przeworsk). Od 1918 roku przebywał jako wychowanek w Miejscu Piastowym. Następnie wstąpił do nowicjatu michalitów i w 1936 roku przyjął święcenia kapłańskie. Wydaje się, że jeszcze w młodości Wincenty Kuras chciał poświęcić swe życie dzieciom i zajmować się działalnością pedagogiczną. Wybór więc zakonu nie był na pewno przypadkowy, gdyż michalici od początku swego istnienia koncentrowali się na pracy wychowawczej wśród dzieci i młodzieży szczególnie zaniedbanej moralnie i materialnie. Po dwóch latach od święceń, 1 września 1938 roku, władze zakonu mianowały go dyrektorem placówki wychowawczej w Dziadkowiczach (powiat Baranowicze).

Zakład wychowawczy w Dziadkowiczach powstał w latach 1920ch dzięki hr. Helenie Jelskiej. Według opowiadań miejscowej ludności hrabina zwróciła uwagę na losy sierot po śmierci ukochanego syna. Helena Jelska zaprosiła do Dziadkowicz michalitów, ofiarowała działkę na budownictwo internatu i szkoły, przekazała materiały budowlane i bydło.

Do zakładu wychowawczego przyjmowano prócz sierot chłopców z biednych rodzin chłopskich. Otrzymywali tu wykształcenie, uczyli się rozmaitych rzemiosł, dorastali w atmosferze duchowości i kultury. Po zakończeniu szkoły wychowańcy otrzymywali przydatne na wsi zawody: kowala, stolarza, kuśnierza. Wydawano im również drewno na budowę domu.

Według zachowanych wspomnień i relacji żyjących wychowanków z Dziadkowicz ks. Wincenty Kuras był powszechnie lubianym dyrektorem. Założył orkiestrę grającą na wiejskich weselach, przygotowywał sztuki teatralne oraz odprawiał nabożeństwa. Dzieci nie chciały rozstawać się z nim ani na chwilę!

Po wkroczeniu do Polski 17 września 1939 roku Armii Czerwonej Wincenty Kuras jako kapłan katolicki został aresztowany. Nowe władze nie zamknęły jednak zakładu wychowawczego. Prócz chłopców pojawiły się tam dziewczynki. Po wejściu Niemców w »»»



Hrabina Helena Jelska

»»» 1941 roku ks. Kuras zdołał powrócić na stanowisko dyrektora sierocińca.

W tym okresie szczególną uwagę skupił duszpasterz na osobach potrzebujących. Zaczął udzielać schronienia ludziom prześladowanym przez nazistów, zdając sobie sprawę, iż za to może stracić życie. Warto podkreślić, że ks. Wincenty nie dzielił ludzi na osób wierzących i ateistów, oraz na Polaków, Rosjan i Żydów. Byli tylko ci, którym zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo. W placówce Wincentego Kurasa wypełnionej licznie wychowankami przebywało na początku okupacji niemieckiej także troje dzieci narodowości żydowskiej (dwóch chłopców i jedna dziewczynka), rodzina żydowska (krawiec z żoną) oraz szewc. Jak pisze ks. Marcin Rożański, w dobie ekumenizmu i dialogu z judaizmem, warto ten fakt odnotować jako ważny i wnoszący ziarenko dobra w pojednanie żydowsko-chrześcijańskie. Ksiądz Kuras udzielił schronienia również trzem zbiegłym z obozu jenieckiego żołnierzom radzieckim, zatrudniając ich w działającym w Dziadkowiczach młynie i warsztacie. Musiał też bronić swoich podopiecznych przed wywózką do Niemiec. Dopóki pozostawał dyrektorem, żadne dziecko nie było wywiezione z Dziadkowicz.

Dla wojny jednak nie tylko szlachetność i ofiarność są charakterystycznymi zjawiskami, lecz także zdrada. W dniach 26-30 czerwca 1942 r. w ramach ogólnie przeprowadzonej akcji, w okolicznych miejscowościach dokonywano aresztowań Polaków. Schwytano także Wincentego Kurasa. Według ks. Marcina Rożańskiego oskarżył go przed niemiecką władzą okupacyjną Jan Dżerman, mieszkaniec Dziadkowicz. Zarzucono mu ratowanie dzieci i rodzin żydowskich. Księdza Kurasa przetrzymywano w więzieniu w Baranowiczach. 13 lipca 1942 roku dokonano mordu na nim oraz 400 innych Polakach. Wśród oprawców był białoruski policjant Stanisław Ciuńczyk, który przy nadarzających się sposobnościach chełpił się tym, że sam odebrał życie ponad 40 katolickim kapłanom.

Ukrywani przez ks. Kurasa dorośli Żydzi zostali rozstrzelani w Dziadkowiczach, a trójka dzieci po interwencji hr. Jelskiej została odesłana do innych żydowskich rodzin w Polonce. Jednak z początkiem lipca 1942 roku zgromadzono wszystkich okolicznych Żydów w lasku koło Polonki i w wykopanym tam dole dokonano masowej egzekucji. Jak wspominał naoczny świadek Karol Kraciuk, trójka dzieci z michalickiej placówki zginęła razem z nimi.

W tym samym roku do zakładu wychowawczego w Dziadkowiczach przybył nowy dyrektor, lojalny wobec władz okupacyjnych. Mniej niż za rok wywieziono na roboty do III Rzeszy wszystkich prawie wychowanków sierocińca – od 120 do 150 osób. Już w 1943 roku czerwoni partyzanci zabili tego dyrektora i spalili puste budynki zakładu. Dzieci tam już wtedy nie było.

W 2015 roku w białoruskiej wsi Połonka w rejonie baranowickim odbyły się uroczystości żałobne w rocznicę męczeńskiej śmierci jej mieszkańców. Po raz pierwszy uroczystości poświęcono przede wszystkim księdzu Wincentemu Kurasowi. Obchody rocznicy rozpoczęto zapalając znicze i składając kwiaty na wspólnej mogile w Baranowiczach, gdzie pochowany jest ksiądz Wincenty Kuras, który poświęcił swe życie dzieciom, zaś oddał je za tych, którzy potrzebowali jego pomocy.

Dymitr ZAGACKI

Legitymacja
ks. Wincentego Kurasa



CURIA ARCHIEPISCOPI
CRACOVIENSIS ET PRINCIPIS

Dorota Piramidowicz

POLESIE W «MATERIAŁACH DO DZIEJÓW SZTUKI SAKRALNEJ NA ZIEMIACH WSCHODNICH DAWNEJ RZECZYPOSPOLITEJ»

Obce rzeczy wiedzieć dobrze jest,
– swoje, obowiązek

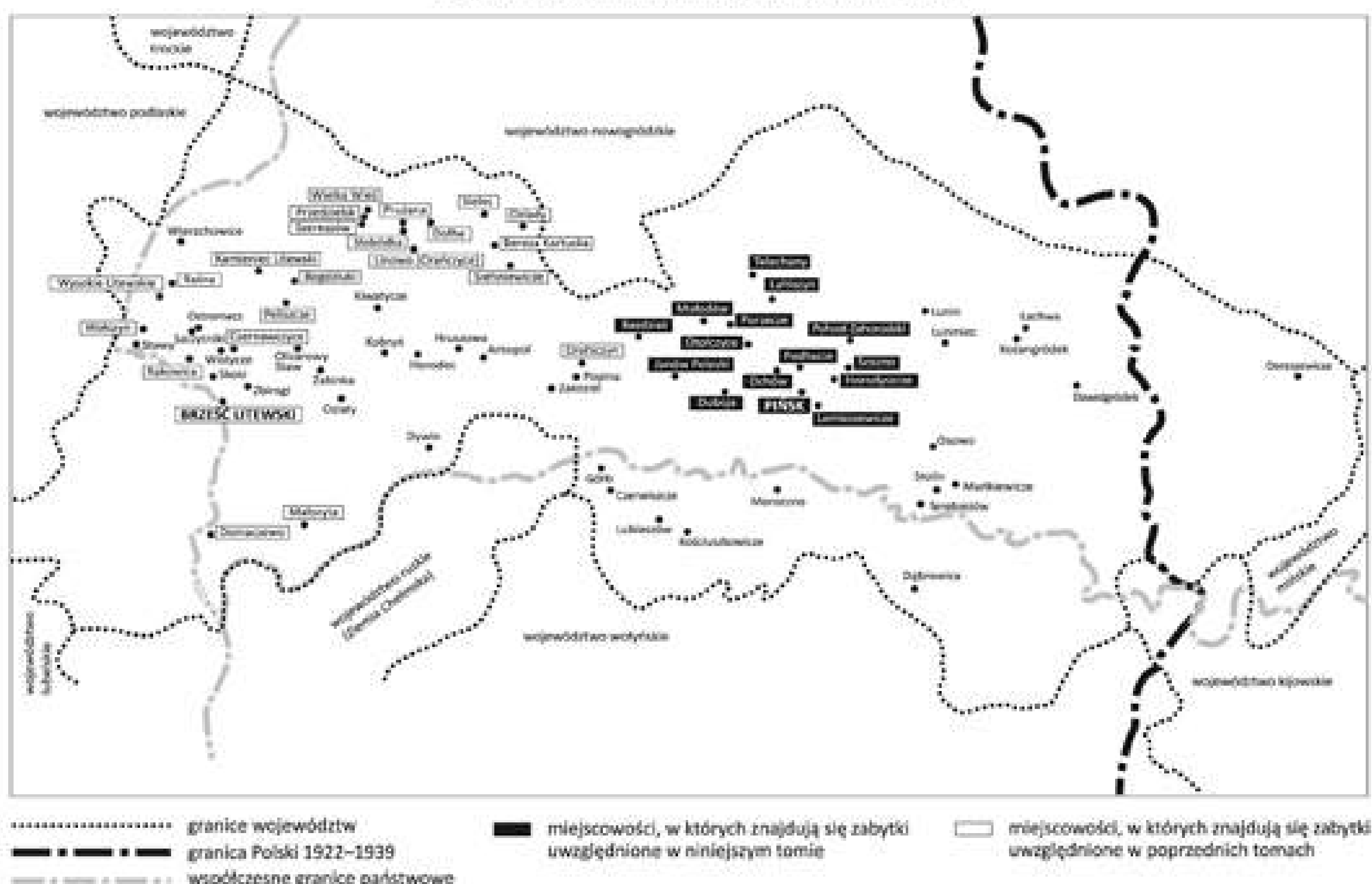
motto «Encyklopedii staropolskiej»
Zygmunta Glogera, wyd. 1900

Tomy «Materiałów do dziejów sztuki...» składają się na monumentalną serię wydawniczą, której pomysłodawcą i głównym redaktorem jest prof. dr hab. Jan K. Ostrowski. Przed ponad ćwierćwieczem zapoczątkował on akcję inwentaryzacji zabytków, znajdujących się na terytorium dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej Obojga Narodów, która jest realizowana przez zespoły historyków sztuki w Krakowa i Warszawy. Wymierny efekt prowadzonych badań to monografie zabytkowych obiektów sakralnych, publikowane przez krakowskie Międzynarodowe Centrum Kultury. Dotychczas zostało wydanych bez mała czterdzieści tomów w pięciu częściach odpowiadającym dawnym, istniejącym do roku 1795, województwom Rzeczypospolitej. W składzie byłych ziem koronnych, leżących obecnie na terytorium państwa ukraińskiego, znajdowało się m.in. opracowane już województwo ruskie (tomy granatowe). Natomiast na obszarze Wielkiego Księstwa Litewskiego – dzisiejsza Białoruś i Litwa – położone były województwa wileńskie, nowogródzkie, trockie i brzeskolitewskie, których zabytkowe obiekty zostały opisane w kolejnych częściach serii (tomy zielone). W najbliższy latach będą także opublikowane opracowania dawnego województwa bełskiego oraz Inflant Polskich.

Każdy z powstałych w serii tomów zawiera możliwie kompletne monografie obiektów sztuki sakralnej – kościołów, klasztorów, kaplic – opracowanych według jednego schematu, na który składają się: szczegółowa historia obiektu, opisy zarówno architektury jak i wszelkiego dostępnego wyposażenia, ich stan zachowania oraz przedstawione w zarysie wartości artystyczne. Poszczególne studia zamykają aneksy z przytoczonymi in extenso najważniejszymi źródłami, pozyskanymi z archiwów Polski, Białorusi, Litwy, Ukrainy, Rosji i innych. Poza tekstami tomy zawierają również obszerną część ilustracyjną, gdzie oprócz zdjęć wykonanych w czasie inwentaryzacji można znaleźć nierzadko publikowane po raz pierwszy materiały archiwalne – fotografie, rysunki, plany i wszelką dostępną ikonografię.

***

W «zielonej» serii ukazały się dotychczas trzy tomy poświęcone świątyniom z regionu historycznego Polesia, na które złożyło się ponad 50 monografii, począwszy od dużych założeń kościelno-klasztornych, po skromne cmentarne i przydrożne kapliczki w miejscowościach takich jak Brześć, Domaczewo, Małoryta, Rakowica, Raśna, Wołczyn i Wysokie Litewskie (tom 1), Bereza Kartuska, Bogdziuki, Czernawczyce, Dołhe, Drohiczyn Poleski, Dziady, Kamieniec Litewski, Linowo, Peliszcze, Prużana, Siehniewicze, Sielec, Słobódka, Szereszów (tom 2) oraz Pińsk i jego okolice, czyli Bezdzież, Duboja, Horodyszcze, Janów Poleski, »»»



»»» Lemieszewicze, Łahiszyn, Mołodowo, Ochowo, Otołczyce, Podhacie, Pohost Zahorodzki, Porzecze, Soszno i Telechany (tom 3). Monografie zabytków znajdujących się w wymienionych wyżej miejscowościach zostały opatrzone przeszło 1600 ilustracjami.

Dawne województwo brzeskolitewskie, wytyczone w roku 1566 mocą unii lubelskiej, w znacznej mierze pokrywało się z geograficznym regionem Polesia. Można zaryzykować twierdzenie, że kultura artystyczna łacińskiej sztuki sakralnej tego obszaru jest jedynie w niewielkim stopniu rozpoznana i opracowana we współczesnej literaturze naukowej, zarówno polskiej jak i białoruskiej. Złożyło się na to kilka powodów. Jednym z nich był fakt, że stopniowo po roku 1939, a na dużą skalę zwłaszcza po 1945, w ramach represji władz sowieckich wobec Kościoła zlikwidowano większość parafii, a świątynie zamknięto, przekształcono na cele świeckie bądź zburzono. Szczególnie wielkie spustoszenie dotknęło – co zrozumiałe – świątyń drewnianych, zwłaszcza zaś tych wzniesionych w okresie międzywojennym dla osadników i żołnierzy, postrzeganych jako narzędzie polskiej kolonizacji (przykładem może być kościół garnizonowy w Słobódce pod Prużaną czy Linowie-Orańczycach). Okres radziecki przyniósł ponadto ogromne i niepowetowane straty w wyposażeniu świątyń, wraz z jego dalszym rozproszeniem. Po odnowieniu diecezji pińskiej w roku 1992 udało się rewindykować wiele kościołów, wzniesiono też nowe (np. w Berezie Kartuskiej, Wielkiej Wsi, Przedzielsku czy Drohiczynie), które najczęściej nie mają dawnych elementów wyposażenia.

Podczas kolejnych wyjazdów badawczych grupie historyków sztuki udało się dotrzeć do wszystkich udokumentowanych historycznie świątyń oraz do większości miejsc po obiektach unicestwionych, gdzie wykonana została dokumentacja fotograficzna. Inwentaryzacji terenowej towarzyszyły szeroko zakrojone kwerendy archiwalne w zasobach krajowych i zagranicznych, w wyniku których pozyskano obszerny,

w znakomitej większości nieznany wcześniej badaczom, a tym bardziej niepublikowany zespół archiwaliów od XVI do XX wieku (akty wizytacji i opisy inwentarzowe, plany, pomiary i projekty, materiały ikonograficzny). Udało się dokonać ważnych znalezisk i zaproponować atrybucje, które w znaczącym stopniu uzupełniają obraz sztuki dawnej Rzeczypospolitej. Nie ma tu miejsca na przedstawienie wszystkich dokonanych w ciągu ostatnich lat, warto jednak zaprezentować kilka szczególnie symptomatycznych problemów i zjawisk.

Spośród dzieł architektury na szczególną uwagę zasługują znaczące założenia klasztorne, obecnie nieistniejące, zburzone lub przekształcone. Zespół kartuzów w Berezie, fundacji Kazimierza Leona Sapiehy, podkanclerzego litewskiego, z roku 1648, był jedyną na ziemiach litewskich kartuzją i należał do najbogatszych ówczesnych fundacji klasztornych w Rzeczypospolitej. Wagi tego obiektu dowodzi zainteresowanie nim historyków i historyków sztuki tak przed rokiem 1939, jak i po wojnie. Jednakże dopiero badania terenowe w połączeniu z gruntowną kwerendą archiwalną i ikonograficzną (przeprowadzoną w zbiorach od Londynu po Moskwę) przyniosły rezultat w postaci rekonstrukcji całości założenia oraz propozycji autorstwa projektu w osobie królewskiego architekta i budowniczego Tomasa Poncino. Co więcej, w świetle przeprowadzonych badań, podkanclerzy jawi się jako jeden z najważniejszych mecenasów kultury około połowy wieku XVII w Rzeczypospolitej; województwo brzeskolitewskie zawdzięczało mu również kolegium jezuickie w Brześciu oraz twierdzę w Lachowiczach. Kolejny ważny zespół to kościół i klasztor Cystersów w Wistyczach – udało się precyzyjnie wyznaczyć chronologię faz jego budowy i powiązać architekturę korpusu świątyni ze środowiskiem warszawskim końca wieku XVII, zwłaszcza z Isidore Affaitatim lub architektami z rodziny Ceronich. Natomiast projekt fasady i nieistniejącego ołtarza głównego można przypisać Józefowi Fontanie, architektowi także związanemu z Warszawą. Innym przykładem tego rodzaju architektury, dotychczas nienotowanej w literaturze, a również bliskiej dziełom środowiska warszawskiego pierwszej tercji wieku XVIII, jest klasztor ojców Marianów w Raśnej, całkowicie zburzony w okresie powojennym, a znany jedynie z kilku fotografii. Kolejny unicestwiony obiekt to zespół benedyktynów w Horodyszczu pod Pińskiem, który – dzięki zebranej ikonografii – został precyzyjnie zanalizowany i opisany. To samo należy powiedzieć o niezachowanych świątyniach Pińska – obszerne monografie kościołów i klasztorów dominikanów i jezuitów, zostały opracowane na podstawie szeregu archiwalnych opisów inwentarzowych, fotografii, pomiarów i projektów, pozwalających dokładnie datować i określić przebieg kolejnych faz budowy oraz przebudowy.

Wśród rozlicznych przykładów badanej architektury są obiekty wybitne, wyróżniające się na tle pozostałych świątyń nie tylko na Polesiu. Przykładem takiej właśnie budowli jest niewielka, barokowa kaplica w Duboi, która zasługuje na zainteresowanie badawcze ze względu na intrygującą, centralizującą formę sześcioboku opisanego na okręgu. Malowniczo położona na terenie parku, została wybudowana przy rezydencji jezuickiej, stanowiącej letnią siedzibę konwentu pińskiego, najpewniej w pierwszej tercji wieku XVIII. Kaplicę należałoby ulokować w nurcie architektury posttylmanowskiej, nie wykluczając posłużenia się projektem samego Tylmana z Gameren przez nieznanego budowniczego, zapewne z kręgu Komasków.

Epokę historyzmów reprezentuje wzniesiony w latach 1841–1848 klasycystyczny kościół w Szereszowie, którego anonimowy autor zdał się wykorzystywać w swym projekcie proste i uniwersalne formy z wzornikowej publikacji Chrystiana Piotra Aignera. Do ouevre uznanego warszawskiego architekta Henryka Marconiego należy dodać niefunkcjonujący dotąd w polskiej literaturze projekt okazałej neorenesansowej bazyliki dla Prużany (z około 1857). Daleko posunięte analogie z udokumentowanymi dziełami pozwalają na przypisanie właśnie temu pochodzącemu z Włoch architektowi świątyni, rozebranej w latach sześćdziesiątych wieku XX.

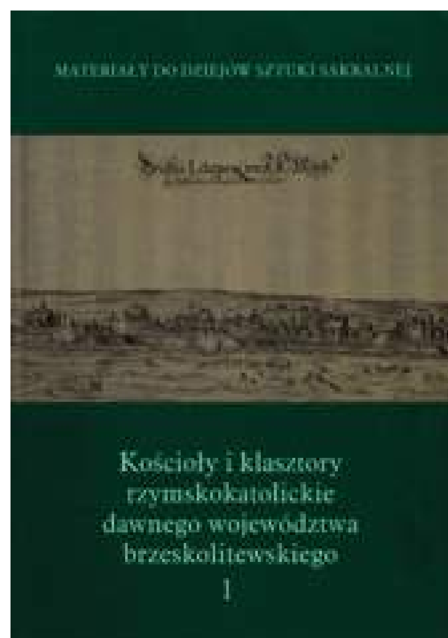
Praktycznie zupełnie nie funkcjonowała dotąd w literaturze przedmiotu łacińska architektura sakralna z dwudziestolecia międzywojennego. W trakcie badań udało się ustalić autorstwo szeregu projektów oraz naszkicować sylwetki kilku architektów działających w Brześciu, jak Wincenty Henryk Wdowiszewski (kościoły w Brześciu-Kijówce, Tokarach, Dawidgródku), Wiktor Sołomowicz (kościoły parafialne w Berezie Kartuskiej, Drohiczynie Poleskim i Morocznie, kaplica szpitalna w Pińsku), Józef Tadeusz Barański (kościoły brzeskie – p.w. Najświętszego Serca Jezusowego, ewangelicki oraz niezrealizowany projekt rozbudowy kościoła parafialnego p.w. Podniesienia Krzyża Św., a także projekt kościoła »»»

»»» w Antopolu) oraz Bronisław Nielubowicz (kościół w Lepiszczu). Można zaryzykować tezę, że w Brześciu w okresie międzywojennym istniało interesujące środowisko architektoniczne, mało znane polskiej historii sztuki i tym bardziej zasługujące na dalsze badania.

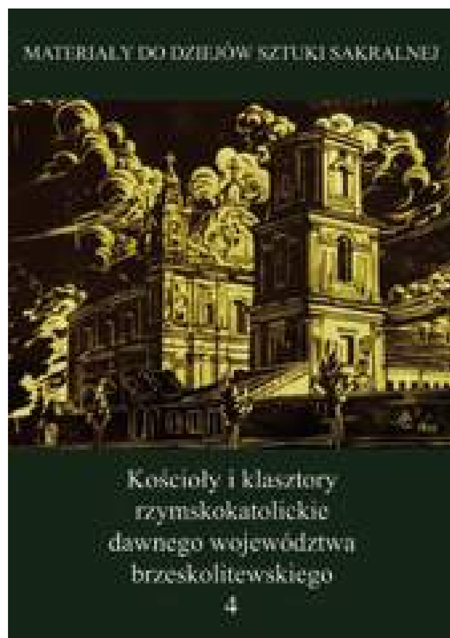
Osobny tom, jak już wspomniano wyżej, poświęcono świątyniom Pińska, gdzie obecnie funkcjonuje jeden kościół rzymsko-katolicki, pofranciszkański, od roku 1991 ponownie katedralny, działający nieprzerwanie od czasu fundacji w końcu wieku XIV. Pozostałe obiekty sakralne nie istnieją, lub – jeśli przetrwały zawieruchy historii – pełnią inne funkcje. Dawna świątynia księży komunistów stała się miejską salą koncertową, w kościele pobernardyńskim działa cerkiew prawosławna, w klasztorze zaś instytucje sądownicze i szpital, w słynnym pińskim kolegium jezuickim ma swoją siedzibę Muzeum Białoruskiego Polesia. Inne budowle – kościoły jezuicki i cmentarny, zespoły karmelitański, dominikański i sióstr Mariawitek oraz kaplica szpitalna – zostały zburzone lub rozebrane w stuleciu XIX lub XX.

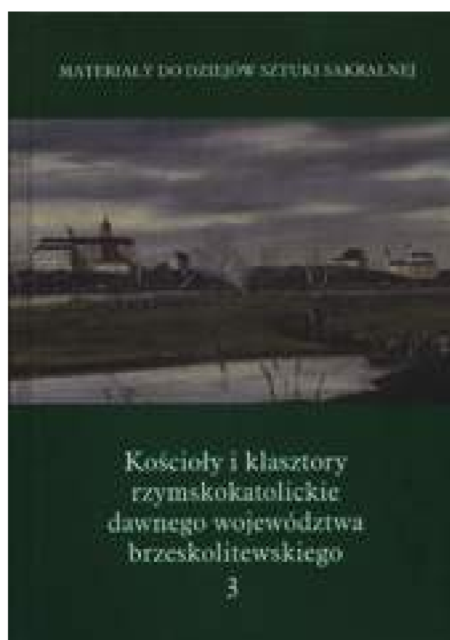
Poza przedstawionymi wyżej zagadnieniami związanymi z architekturą, istotnym osiągnięciem badawczym jest znaczne poszerzenie oeuvre malarza Kazimierza Antoszewskiego. Historycy sztuki, zarówno polscy jak i litewscy oraz białoruscy, poświecili dotąd nieco uwagi jego działalności – znane były polichromie w kościołach w Budsławiu, Łuczaju i Mińsku. Na podstawie analizy odnalezionych materiałów ikonograficznych można było przypisać Antoszewskiemu nieistniejące już polichromie w kościołach pojezuickim i bernardynów w Pińsku, kapucynów w Lubieszowie oraz benedyktynów w Horodyszczu (a również poza terenem woj. brzeskolitewskiego w Przydrujsku, Malkowszczyźnie i Holszanach). W ten sposób malarz ten urósł do rangi najbardziej aktywnego freskanta oraz, jak się okazuje, projektanta wyposażenia kościołów, m. in. ambon i ołtarzy na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego.

W przypadku obiektów ruchomych na omawianym terenie zachował się praktycznie ułamek pierwotnego zasobu. Wyposażenie zamykanych świątyń było przenoszone do wciąż jeszcze funkcjonujących, często również poza granice województwa. I tak, drogocenne naczynia liturgiczne ze skasowanego klasztoru Kartuzów w Berezie wzbogaciły skarbiec katedry wileńskiej. Po powstaniu styczniowym, a następnie po roku 1945 w Kamieńcu Litewskim, Szereszowie i Peliszczu znalazły się różne elementy wystroju i szaty liturgiczne, tworząc rodzaj składnic reliktów z okolicznych, zniesionych kościołów, także z drugiego brzegu Bugu, np. z Narewki (w latach 1963 i 1974 część z nich, postrzegana za cenniejszą, została przeniesiona do Narodowego Muzeum Kultury Starobiałoruskiej w Mińsku). Równocześnie, po reaktywacji parafii po roku 1918 oraz w latach dziewięćdziesiątych wieku XX do omawianych świątyń trafiały obiekty niewiadomej proweniencji. Niestety, jedynie cześć z tego zasobu może być dziś zidentyfikowana i przypisana do pierwotnej lokalizacji. Wiadomo na przykład, że do pińskiej katedry z zamkniętego kościoła Dominikanów trafił siedemnastowieczny feretron Bractwa Różańcowego z przedstawieniami «Matki Boskiej Różańcowej i Imienia Jezus», który pełni obecnie funkcję obrazu









ołtarzowego. Drugim obiektem podominikańskim jest wielki dzwon z roku 1706, stojący na podeście katedralnej dzwonnicy. W kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej znalazły miejsce dwie barokowe rzeźby «Św. Piotra» i «Św. Pawła», notowane przed ostatnią wojną w kościele cmentarnym. Stamtąd również pochodzi antependium z wyobrażeniem «Czyśćca», wkomponowane w mensę jednego z ołtarzy bocznych, przy którym stoi także figura «Chrystusa Nazareńskiego», być może tożsama z rzeźbą umieszczoną niegdyś w nieistniejącej już kaplicy rynkowej. Wierni korzystają do dzisiaj z trzech – z kompletu dwudziestu – dębowych ławek z kościoła Jezuitów, o bokach zdobionych płaskorzeźbionymi «poleskimi» motywami roślinnymi. Na chórze muzycznym wisi obraz przedstawiający «Boga Ojca», kopia wykonana według przedstawienia Guercina, pierwotnie będący własnością benedyktynów z Horodyszcza, który jest jedynym znanym zachowanym dziełem malarskim z tamtejszego kościoła. Ciekawym obiektem z grupy nielicznych zachowanych horodyskich zabytków ruchomych jest księga z portretami fundatora Jana Karola Kopcia i dwunastu opatów, znajdująca się obecnie w Archiwum Benedyktynek w Staniątkach. Zasługuje na uwagę nie tylko jako cenny dokument, lecz także przykład późnobarokowego rękopisu ozdobionego nieczęsto spotykaną dekoracją malarską. Z kolei w cerkwi w Janowie przechowywane są do dzisiaj dwa malowidła, pierwotnie związane z tamtejszym kościołem – «Matka Boska z Dzieciątkiem» z ołtarza głównego i «Anioł Stróż». W mińskim Muzeum Kultury Starobiałoruskiej eksponowany jest obraz «Matki Boskiej Śnieżnej», pochodzący z pińskiego kościoła Dominikanów, będący zapewne wcześniej własnością tamtejszych Karmelitów. Jedyna zachowana barokowa monstrancja, ufundowana w roku 1735 do kościoła w Ochowie, po roku 1945 została wywieziona przez repatriantów do Bielska Podlaskiego i znajduje się obecnie w Muzeum Diecezjalnym w Drohiczynie.

Do utraconego bezpowrotnie ruchomego wyposażenia omawianych świątyń, znanego jedynie z archiwaliów, a w najlepszym razie z przedwojennych fotografii, należą często obiekty wysokiej klasy artystycznej, nieznane w szerszym obiegu naukowym. Przed rokiem 1939 w kaplicy w Duboi znajdował się relikt wyposażenia sakralnego pińskiego kościoła Jezuitów, pochodzącego sprzed kasaty zakonu. Był nim okazały ołtarz, formą i ornamentyką wpisujący się w stylistykę ostatniej ćwierci XVII stulecia. Niestety, nie przetrwała również piękna, klasycyzująca rzeźba «Chrystusa Ukrzyżowanego», wykonana w 2. połowie wieku XVII, najpewniej sprowadzona z któregoś z ośrodków rzeźbiarskich północnej Rzeczypospolitej. Natomiast w ołtarzu głównym kościoła w Horodyszczu znajdowało się wielkoformatowe płótno ze sceną «Nauczania Marii». Kompozycja, wzorowana na obrazie Giovanniego Battisty Tiepola z kościoła Santa Maria della Consolazione w Wenecji, a przede wszystkim charakter fizjonomii przedstawionych postaci, pozwala na ostrożne skojarzenia z twórczością królewskiego malarza Jana Bogumiła Plerscha, ucznia Szymona Czechowicza. Innym interesującym obrazem jest przedstawienie «Matki Boskiej Śnieżnej», datowane na koniec wieku XVII, wypełniające szeroki, »»»

»»» ażurowy owal snycerskiej ramy z ołtarza bocznego kościoła Komunistów w Pińsku. Należy w tym miejscu wspomnieć również akademicki, marmurowy krucyfiks z ołtarza kaplicy w Mołodowie, wykonany zapewne na zlecenie Henryka Skirmuntta w rzymskiej pracowni Wiktora Brodzkiego, polskiego rzeźbiarza wykształconego w Akademii Petersburskiej. Na uwagę zasługują także ołtarze pińskiego kościoła Societatis Jesu, uchwycone na kilku przedwojennych fotografiach. Potężną i wyniosłą formę miał klasycystyczny ołtarz główny, być może projektu wspomnianego już wyżej malarza-freskanta Kazimierza Antoszewskiego, zwieńczony wtórnie figurą «Chrystusa» według rzeźby Bertela Thorvaldsena z katedry Panny Marii w Kopenhadze. Jeden z ołtarzy bocznych w formie tempietta, projektu Stefana Szyllera, był interesujący nie tylko ze względu na osobę wybitnego architekta, lecz także jako przykład nurtu historyzującego w architekturze polskiej dwudziestolecia międzywojennego. Pozostałe ołtarze, o modnych w latach trzydziestych wieku XX modernistycznych strukturach, wykonał zapewne miejscowy jezuita, ksiądz Stanisław Czapiewski.

Wśród wyposażenia świątyń rzadko zdarzają się osiemnastowieczne naczynia liturgiczne, zaś wcześniejsze reprezentuje tylko jeden obiekt – pacyfikał z Siehniewicz. Swoisty wyjątek stanowi kościół katedralny w Pińsku, gdzie przetrwał większy zasób cennych naczyń i paramentów, jak np. wspaniała gdańska monstrancja z trzonem figuralnym w postaci figurki św. Antoniego Padewskiego, a zwłaszcza szaty liturgiczne z haftami z XVI wieku. Jest to jednak i tak ułamek niezwykle bogatego wyposażenia, które zostało udokumentowane na fotografiach z lat dwudziestych XX wieku. Były tam m. in. gotycka monstrancja z cylindryczną, szklaną puszką, najprawdopodobniej wyrób warsztatu pruskiego, a także wspaniała monstrancja późnogotycka, przerobiona w okresie baroku, ponadto późnogotycki kielich, bogate oprawy ksiąg liturgicznych etc.

Wciąż trwa szeroko zakrojona akcja inwentaryzacji zabytków Polesia oraz związane z nią działania w archiwach. Obecnie (październik 2016) na ukończeniu są prace redakcyjne nad książką, w której znajdzie się obszerny tekst dotyczący pińskiej katedry, a w planach na najbliższe lata są kolejne dwa tomy zamykające inwentaryzację województwa brzeskolitewskiego, pierwszego w pełni opracowanego województwa dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego.

***

W latach 1993-2016 w serii «Materiały do dziejów sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej» wydano wymienione poniżej tomy, które są dostępne przez stronę internetową wydawnictwa, Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie http://mck.krakow.pl/ksiegarnia/szukaj

część I, Kościoły i klasztory dawnego województwa ruskiego, t. 1-23

część II, Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa nowogródzkiego, t. 1-4

część III, Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa wileńskiego, t. 1-4

część IV, Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa trockiego, t. 1-2 (t. 3 w druku)

część V, Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa brzeskolitewskiego, t. 1-3 (t. 4 w druku)

KRESY WSCHODNIE –
RÓŻNORODNOŚĆ, KTÓRA UBOGACA

«Choć nadciągnął czambuł ze wschodu równając wszystko z ziemią, ludność uprowadzając w jasyr, nie zrażało to ziemiańsko-rycerskich zastępów, by po uroczystym Te Deum w świątyniach Lwowa, Grodna czy Kamieńca, szły ratować Ojczyznę i odeprzeć wrogie najazdy».

Kresy Wschodnie – część obszarów dawnej Rzeczypospolitej, czyli Litwa, Biała Ruś i Ukraina, różnorodne, a jednocześnie wspólne pod względem etnicznym, kulturowym, religijnym, socjologicznym, językowym stworzyły mieszaninę chociaż czasem nieposkromioną, jednak jakże cenną dla dopełnienia i wzbogacenia poprzez właśnie pewną odmienność dla europejskiego i światowego dziedzictwa. Fakt, że ziemie te wchodziły dawniej w skład Państwa Polskiego decyduje w znacznej mierze o charakterze ich kultury i obyczajach mieszkańców. Polską ludność obserwowaliśmy przed wojną na całym tym terenie zajmującą się najczęściej rolnictwem. Co zaś do przemysłu, traktującego ziemię jako główne źródło bogactw, przeważała na Kresach Wschodnich ludność polska, jednak różniła się od ludności ruskiej czy żydowskiej tym, że nie była napływową, a osiadłą tam przed wiekami. Historycznie od czasów postania państwa, a w sposób potwierdzony uniami i układami króla począwszy od Kazimierza Wielkiego ściśle od wieku XIV.

Kresami, w ogóle, zwano w dawnej Polsce stanowiska żołnierzy, czyli wojskowe stójki i poczty wystawiane na pograniczach państwa, aby żaden nieprzyjaciel nie mógł przezeń się przedzierzgnąć. Zwyczaj ten bardzo stary podobnie jak za Karola Wielkiego w Galii, gdy na granicach ustawiano wieżyczki strażnicze, co później skutkowało zwiększeniem bezpieczeństwa państwa i mieszkańców, a ponadto przynosiło bieżące informacje o jego stanie zagrożenia, a nawet służyło do przekazywania bezpiecznie korespondencji, co w czasach bez internetu i telefonów komórkowych było nie lada ułatwieniem. A skąd bezpośrednio pochodziło słowo? Otóż służbę wykonywano kolejno spisując kreskami, bądź kresami tę wypadającą na zmianę kolejkę. Łańcuch straży wyznaczał właśnie granice państwa polskiego i stąd, w mowie potocznej, zaczęto używać słowa kresy w miejsce granic. Dodatkowo w wieku XVII granicami nazywano pas ziemi pogranicza, czyli ziem ukrainnych. Wskutek zawieruchy wojennej różnie z nimi bywało. Jedni bardziej temperamentni kłócili się o nie, co doprowadzało najczęściej do starć zbrojnych, inni tylko przyglądali z boku, troszcząc się jedynie o to, by nie zdołano uszczknąć niczego z ich osobistego dobytku. Czasem ze złym skutkiem, bo przecież powszechnie wiadomo, że jeśli kraj w wojnie, najczęściej cierpią niewinni, a najbardziej skorym do bójki nic się nie dzieje. Dramatów tamtych dni wielu już przede mną wspomniało, mnie zaś pozostaje pamięć o tych, którzy o państwo nasze walczyli. Dzisiaj nad nami czuwają władze najwyższe, służby bezpieczeństwa przez co czujemy się spokojni w niepodległej Polsce.

Nie da się więc ściśle ustalić wyraźnej granicy pomiędzy pokrewnymi szczepami na pograniczu, jak w większości tego typu podobnych obszarach na świecie. Na przykład, biorąc pod uwagę Alzację i Lotaryngię – prowincje kresowe, które tak umiłowane dla Francji i oderwane wielokrotnie w historii wreszcie odzyskano, z «uszczerbkiem» na ziemi. Otoczone glorią chwały wróciły do Francji, za co Francuzi Niemcom wdzięczni



Foto Anna GODUNOWA

są do dzisiaj. Polak zaś do Kresów posiada szczególny sentyment. I gdy rozlega się pieśń «Ukraina» bądź «Polesia czar», łzy wzruszenia pojawiają się u niego w oczach i od razu ma w pamięci tych, którzy o Kresy walczyli, by odzyskać świetną Rzeczpospolitą: a wśród nich tak rzadko dziś wspominani bohaterowie: Emilia Plater czy Jakub Jasiński.

Od dwudziestego wieku Kresy pisane dużą literą oznaczają ziemie zabrane Rzeczypospolitej przez ZSRR po II wojnie światowej, wśród nich Litwę i wschodnią Galicję. Wówczas Wilno, Grodno i Lwów, po odebraniu Polsce traktowano odtąd jako miasta kresowe. Stały się też ziemiami, na które długo po wojnie nie można było wyjechać. Zdobycie paszportu i wizy graniczyły z cudem. Kiedy w końcu udało się prawo do wyjazdu uzyskać, nie posiadano się ze szczęścia.

Utracone Kresy wpisywały się więc w świadomość Polaków jako obszar wzajemnego przenikania kultur, bo przecież spotykali się ludzie, którzy w innych warunkach, mogliby chwycić za oręż z wiadomym skutkiem. Tymczasem istniejące po drugiej stronie granice Rzeczypospolitej Polskiej zaczęły żyć odrębnym życiem, tradycją i językiem. Wszelkie wysiłki ze strony władz polskich, konsulatów, klubów polskich, fundacji, stowarzyszeń sprowadzały się do jednego: by przywrócić dawną świetność Kresów, ukazać tradycję i jedność tamtych

pokoleń. W szerszej świadomości Polaków Kresy zachowały niezwykłą popularność, do której w znacznej mierze przyczyniły się te wszystkie instytucje, a zwłaszcza przedstawiciele władz naczelnych reprezentujących społeczeństwo polskie w wielu polskich patriotycznych apelach, wiecach, uroczystościach. Po okupacji wzmogły się tendencje anty. Rozpoczęły się czystki etniczne, co zagroziło narodowej kulturze utrwalonej przez pokolenia Polaków na tych obszarach. Nasilenie konfliktów wynikało z nieświadomości i wcześniejszych zagrożeń II wojny światowej na tych terenach. Dodatkowo ustalenie granicy na rzece Bug spowodowało wielki smutek i żal mieszkańców, do tego stopnia, że część postanowiła opuścić swoje domostwa, by udać się wskutek repatriacji na ziemie polskie, na których nigdy wcześniej nie mieszkała, ale musiała je przyjąć jako swoje, bo taka zaistniała możliwość. Powojenne Państwo Polskie oferowało im zakwaterowanie i umożliwiało pracę. Stąd mnóstwo dawnego ziemiaństwa i dawnych Kresowych potomków polskich rycerzy znalazło się na Kresach Zachodnich, co stanowiło w historii ewenement w skali światowej. Ze wschodu na zachód po II wojnie światowej dotarli również inni osadnicy, i w ten sposób zasiedliły się tamte Kresy, a wysiedliły wschodnie, zaś środkową część Polski zubożyli wszyscy ci przygodni wędrowcy, którym kraj nasz ofiarował tak wiele dobra i przychylności, niewzruszenie okradając z dobytku kultury. Dzisiaj Polska jest krajem bogatym i przyjmuje znowu falę uchodźców, w tym zwłaszcza studentów pochodzenia polskiego i nie tylko, by na uniwersytetach zdobywali wiedzę i gościli w naszych progach «czym chata bogata». Świadectwa wielkopańskości stanowią niezbicie dowody na dawne nasze ziemiańskie i szlachetne, często też Kresowe, pochodzenia. Bo nawet każde polskie dziecko w szkole podstawowej wie, że jako obywatel Polski jest i był zawsze «między swymi».

Urszula Julita ADAMSKA



Pałac Radziwiłłów w Połoneczce na rysunku Napoleona Ordy z 1876 r.

POŁONECZKA

O wsi Połoneczka wiemy dzięki Radziwiłłom, rodowi, który nie miał sobie równych w historii Wielkiego Księstwa Litewskiego pod względem liczby wybitnych postaci politycznych, religijnych, wojskowych i kulturowych.

Do dziś ocalał piętrowy pałac, który należał do przedstawicieli Radziwiłłów linii Szydłowieckiej – «na Szydłowcu i Połoneczce». A dawniej mieścił się tu potężny zespół pałacowo-parkowy z długą aleją wjazdową, kaplicą, oranżerią, parkiem krajobrazowym oraz młynem wodnym.

Nie znamy dokładnej daty powstania rezydencji. Prawdopodobnie wybudował ją książe Maciej Radziwiłł lub też przebudował istniejącą już siedzibę. Projekt należy do nieznanego włoskiego architekta. Wzorował się na pałacu z Trivulzino nad jeziorem Como

Pałac stoi na niewielkim wzgórzu nad rzeką Zmiejką. Główny korpus połączony jest po bokach z parterowymi oficynami. Przed wejściem był kamienny taras i zegar słoneczny. Nie ma już trójkątnego frontonu, znajdującego się w centrum kompozycji. W środku były inicjały fundatora pałacu otoczone wieńcem laurowym, a także książęca mitra i radziwiłłowski orzeł. W pozniejszym okresie w lewej części, na jednej osi z pałacem, wybudowano piękną oranżerię w stylu neogotyckim (teraz w tym miejscu stoi kotłownia). Wyjątkowym elementem siedziby był park krajobrazowy z systemem kanałów wodnych. Do dziś niestety zachowały się pojedyńcze okazy drzew.

W środku centralną część zajmował »»»

Pałac Radziwiłłów w Połoneczce. 2016 rok

Pałac od strony ogrodu



Gniazdo bociana



Głowy wieńczący pilastry w ryzalicie frontowym

»»» przestronny hol z dwoma marmurowymi kominkami, dalej – pokoje gościnne, sypialnie i inne pomieszczenia mieszkalne. Duża sala na piętrze wyróżniała się niezwykłym lustrzanym pokryciem ścian. W pałacowej jadalni mieściła się galeria obrazów – 38 portretów przedstawicieli różnych linii rodu Radziwiłłów. Szczególnym miejscem w domu była biblioteka. Zbiory książek (4 tys. egzemplarzy) przechowywano w wysokich szafach z drzewa mahoniowego. W środku pokoju stał ogromny stół, przykryty zielonym suknem, a na nim – mapy, globusy, kolekcje starych rycin i medali. W przyszłości cenne przedmioty w pałacu spotkał różny los – część z nich książę Maciej Radziwiłł wywiózł do majątku swej żony w Zegrzu, pojedyńcze artefakty stały się częścią zbiorów archiwalnych w Nieświeżu, dokumenty (XV-XIX w.) – w Głownym archiwum akt dawnych w Warszawie, zbiory książek – w Bibliotece Narodowej. Spora jednak część nieodwołalnie zginęła w pierwszej połowie XX wieku.

Dobrze zachował się kościół Św. Jerzego, zaprojektowany przez znanego warszawskiego architekta Konstantego Wojciechowskiego w stylu neogotyckim. W środku widzimy XIX-wieczne organy, przywiezione z Wilna oraz rzeźbiony drewniany ołtarz. Ocalał także strój liturgiczny, wykonany ze słynnych ornatów słuckich.

Warto udać się w północną część wsi. Tam, nad starym zarośniętym stawem można zobaczyć kamienny młyn wodny, zbudowany w 1819 roku.

Kościół Św. Jerzego w Połoneczce wzniesiony w 1899 roku przez Alberta Radziwiłła



Kościół w stylu neogotyckim zbudowano według projektu Konstantego Wojciechowskiego



«Radziwiłł», «Święty Michał» I «Święty Jerzy» – dzwony, ufundowane w 2012 roku przez potomka słynnego rodu – Macieja Radziwiłła

Stary cmentarz

Młyn wodny w Połoneczcze
z 1819 roku.

MARIA RODZIEWICZÓWNA, FLORIAN Z WIELKIEJ HŁUSZY

«Florian z Wielkiej Hłuszy» to powieść Marii Rodziewiczówny o Kresach, a konkretnie o Polesiu. Rzecz dzieje się w zabitym dechami miasteczku Wielka Hłusza w czasie I wojny światowej, w latach 1915-1919.

Tytułowy Florian to ogromny dzwon kościelny podarowany przed wiekami świątyni w Wielkiej Hłuszy przez królową Bonę w podzięce za uratowanie od nieszczęśliwego wypadku w podróży. Od tamtej pory ów dzwon jest wielką dumą okolicznych katolickich mieszkańców. Niestety, w czasie I wojny światowej, latem 1915 roku, kiedy Rosjanie ewakuowali się z terenu zaboru rosyjskiego przed nacierającą armią pruską, nad Florianem zawisło widmo zagłady. Wszystkie dzwony, podobnie jak inne większe metalowe przedmioty, miały zostać przetopione na armaty. Armia rosyjska szukała ich i rekwirowała. Polacy z Wielkiej Hłuszy i okolic postanowili swój dzwon uratować. Zajęła się tym niewielka grupka młodych patriotów, którzy nocą po kryjomu zdjęli dzwon i ukryli go za miastem.

Historia dzwonu jest pretekstem do opowiedzenia historii o ludziach, Polakach od kilkuset lat mieszkających na Polesiu. Ich przodkowie przybyli tam z Korony (z Mazowsza i spod Krakowa) i żyli od pokoleń na Kresach wśród białoruskiego ludu wierni swojej narodowości i religii. Faktycznymi bohaterami «Floriana z Wielkiej Hłuszy» są członkowie spokrewnionych ze sobą rodzin Skołubów i Wereszyńskich, a także ich znajomi i sąsiedzi. Wbrew nakazom władzy rosyjskiej, która nakazywała Polakom ewakuację w głąb Rosji przed wojskami niemieckimi, dzielni Polacy z Polesia postanowili zostać



i trwać przy swoich domach, dworach i majątkach. Nie było to łatwe, bo Rosjanie wręcz zmuszali ludność do ewakuacji. Po wyprowadzeniu ludzi i zwierząt z danego terenu lotne oddziały kozackie podpalały wszystko. Była to taktyka spalonej ziemi zrealizowana w praktyce.

Jednak zarówno Skołubowie jak i Wereszyńscy pozostali na miejscu. Przetrwali ewakuację rosyjską, przetrwali ucieczkę białoruskiej służby folwarcznej, przetrwali rekwizycje żywności, koni i wszelkiego dobytku. Doczekali się kolejnej okupacji, tym razem niemieckiej, która – jak wierzyli – miała być lepsza od rosyjskiej. Miała być, ale nie była. W końcu po paru latach trudnej walki z przeciwnościami losu, pracując ciężko na roli własnymi rękoma, bo na ręce chłopskie nie mogli już liczyć, doczekali się końca wojny.

W 1919 roku na wiosnę w Wielkiej Hłuszy witano wolną Polskę po latach zaborów. Zabrzmiał znów potężny dzwon Florian, a w kościele rozległa się «Rota» Marii Konopnickiej śpiewana wówczas zamiast hymnu polskiego. Polscy żołnierze wrócili z Francji z wojskiem generała Józefa Hallera. Legionista Alfred Rupejko, ranny na ciele, ale szczęśliwy na duszy i dumny ze służby w wojsku, zdobył wreszcie serce Bronki Wereszyńskiej, a jego rodzice wybierają się do dziadka Wereszyńskiego prosić o rękę wnuczki. Chciałoby się powiedzieć o bohaterach: «A potem żyli długo i szczęśliwie», lecz wiemy, że przecież tak być nie mogło, bo już rok później do Wielkiej Hłuszy znowu zawitała wojna. Tym razem polsko-bolszewicka. Ale o tym już autorka nie wspomina.

«Florian z Wielkiej Hłuszy» to pięknie napisana, barwna i pełna ciekawych przygód opowieść. Trochę patriotyczna, trochę sentymentalna. Na pewno – bardzo polska i bardzo ziemiańska. Momentami wzruszająca (te opisy przyrody i pejzażu Polesia!), momentami zabawna (zaloty niemieckiego żołnierza, Ślązaka Adalberta, do organiścianki Łusi). Czyta się to bardzo dobrze, lekko i szybko. Powieść wyszła w 1929 roku, a w 1938 roku Leonard Buczkowski nakręcił według niej film «Florian».

Podczas lektury myślałam o tej wielkiej wędrówce ludów na wschód, w głąb Rosji, jaką zaborcy zafundowali naszym rodakom nie tylko na Kresach, ale także w Polsce centralnej. Ten mało znany epizod naszej historii został opisany w wielu książkach z tamtej epoki. O tej wielkiej ewakuacji nadzorowanej przez wojsko carskie czytałam m.in. w takich tekstach jak «Lewa wolna» Józefa Mackiewicza, «Szklana góra» Eugeniusza Werstina, «Czasy, miejsca, ludzie. Wspomnienia z Kresów wschodnich 1893-1946» Heleny Roth, «Ania z Lechickich Pól» Marii Dunin-Kozickiej, «Boża podszewka» Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz. Zaś o ewakuacji Niemców na zachód w roku 1917 i jej wpływie na losy mieszkańców Kresów pisał przecież Michaił Bułhakow w «Białej gwardii».

NN



POLESIA CZAR
WEDŁUG SIERBOWA

Latem 1911 roku skromny nauczyciel Drugiej Mińskiej Szkoły wyrusza w swoją pierwszą etnograficzną podróż. Nikt jeszcze wtedy nie wie, że w przyszłości materiały zebrane przez Izaaka Abramowicza Sierbowa staną się jednym z najważniejszych źródeł wiedzy o dawnej kulturze ludowej Białorusi, a jego samego uczynią jednym z wybitnych białoruskich etnografów.

Izaak Abramowicz Sierbow urodził się 25 maja 1871 roku w miejscowości Kulszycze (obecnie obwód sławogradzki rejonu mohylewskiego) w rodzinie białoruskiego małorolnego chłopa. Z wykształcenia archeolog i pedagog, uczył w szkołach miejskich i wiejskich. Pasjonował się fotografią, etnografią i folklorem białoruskim. Jego zainteresowania sprawiły, że gdy w marcu 1911 roku północno-zachodni oddział Carskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego ogłosił konkurs na projekt dotyczący fotografii dokumentalnej dla wszystkich tych, którzy chcą się zająć fotografowaniem dla celów naukowych (etnografii i antropologii), »»»



»»» Sierbow jako pierwszy zgłosił swój projekt. Zaproponował on przeprowadzenie etnograficznej wycieczki fotograficznej w celu utrwalenia tradycji odchodzących w niepamięć. Projekt Sierbowa jednogłośną decyzją komisji wygrał.

– Jako wysłannik Carskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego Sierbow odbył łącznie trzy wyprawy na wschodnią i zachodnią część Polesia oraz południowo-wschodnią część środkowej Białorusi. Rezultatem tych wypraw jest ponad 600 fotografii, zachowanych do dnia dzisiejszego w zbiorach biblioteki Uniwersytetu Wileńskiego oraz ponad 150 przechowywanych w archiwum Narodowego Historycznego Muzeum Republiki Białoruś w Mińsku.

Dlaczego tak ważne i unikatowe są te zdjęcia? Pozwoliły one bowiem zachować na zawsze obraz Polesia z początku XX wieku.





Fotografia Izaaka Sierbowa przedstawiająca grupę białoruskich chłopów w tradycyjnych strojach (fot. M. Koźmińska).

Sierbow był wnikliwym obserwatorem wiejskiego życia, który szukał ciekawych ujęć. Na jego fotografiach zobaczymy nie tylko miejscowości, wiejskie zabudowania czy cerkwie, ale też portrety oraz różne sceny z życia codziennego chłopów. W ten sposób białoruski etnograf wypracował oryginalną metodę reportażu, którą określił jako «fotografię natychmiastową». Większość zdjęć opisywał sam autor, w swych opisach uwzględniał on m.in lokalizację, imię, nazwisko, wiek, wzrost i status społeczny widocznych postaci. Pisał m.in.:

Począwszy od Zarzecza, na prawym brzegu Prypeci, we wschodnim kierunku, szerokim pasmem, rozciągają się ogromne grzbiety łęgowych wydm. Obszar ten zamieszkały jest przez Białorusinów-Dregowiczów, potwierdza to absolutnie wszystko, począwszy od wyglądu miejscowej ludności, skończywszy na sposobie mówienia i śpiewu.

Dlaczego Sierbow wybrał akurat Polesie? W drugiej połowie XIX wieku obszar ten był postrzegany jako ostoja słowiańskich tradycji. Z takiego założenia wychodził również sam badacz, który pisał: «Jeszcze tylko tam zachował się pas etnograficzny kultury Dregowiczów». Jednak z czasem, wraz z kolejnymi odwiedzanymi miejscami, musiał zweryfikować swoje poglądy, o czym pisze w raporcie Po ziemiach Dregowiczów latem 1911 roku:

Tradycyjna kultura Poleszuków traci swoją indywidualność, zwłaszcza w pobliżu ośrodków miejskich i przy drogach kolejowych (…), młodzież czesze się według najnowszej mody, goli brody, zabudowania są budowane po nowemu, rzadko kiedy można już zobaczyć kurną chatę. W gospodarstwach pojawiają się lepsze powozy, uprzęże, pługi, i młocarnie.

Białoruski etnograf nie tylko fotografował otaczającą go rzeczywistość, ale również ją opisywał. Zbierał ludowe pieśni, podania i legendy. Cytaty z jego prac: Wyprawy na Polesie w 1911 i 1912 roku oraz Białorusini-Sakuny idealnie uzupełniają jego fotografie, pozwalając poczuć czar Polesia.

«Naród nasz, tak lubiący wolność i ginący za wolność innych narodów, w organizacji harcerskiej widzi nie tylko zabawę, lecz prawdziwie racjonalne przygotowanie obywatela, Polaka, do czynu i pracy nie tylko dla siebie, lecz i dla innych. Ta to przyczyna sprawia, że młodzież garnie się do harcerstwa, że lubi tę nieraz męczącą pracę, że umie się hartować i chce zdobyć hart siły i serca».

Ksiądz Fabian Szczerbicki



Brześć nad Bugiem, Drużyna harcerska № 13. Raabe, Zbyszyńska, Mycutkiewicz Myszka, Kryska Hanka, Głowacka Jadwiga, Wodzińska Irena, Głowacka Wanda, Micker, Moys Jola, Ewa Maner, Głacers L., Bath Helen // *fot. 1936 r., ze zb. L. Wysockiej*

HARCERSTWO NA POLESIU

ZHP formalnie powstał w listopadzie 1918 r. z połączenia wszystkich organizacji wcześnie działających w trzech zaborach. Losy organizacyjne ruchu harcerskiego na wschód od Bugu w latach 1918-1939 ulegały częstym zmianom. Ilość i charakter zachowanych materiałów nie pozwala odtworzyć w pełni działalność harcerstwa na Polesiu.

Zaznaczyć należy, że pierwsze drużyny harcerskie na terenie Polesia powstały w Kobryniu i Pińsku jeszcze w czasie wojny. Pod koniec 1918 r. przyjeżdża do Brześcia ks. Fabian Szczerbicki, członek Naczelnej Rady ZHP. Rozpoczęta przez niego energiczna działalność harcerska dała początek rzeczywistemu rozszerzeniu się Okręgu Podlaskiego na Polesie.

Pismem z dnia 1 stycznia 1919 r. ks. F. Szczerbicki zawiadomił Naczelny Inspektorat Harcerstwa w Ministerstwie WR i OP o zorganizowaniu m.in. zastępów męskiego i żeńskiego w Brześciu. Jednostki te przydzielono do Okręgu Podlaskiego.

We wrześniu 1919 r. Naczelny Inspektorat przeniósł Inspektorat Okręgu Podlaskiego do Brześcia, powierzając jego kierowanie Ks. Fabianowi Szczerbickiemu.

22 września 1919 r. F. Szczerbicki powiadomił drużyny o połączeniu Okręgu Brzeskiego i Okręgu Podlaskiego w Okręg »»»



Kobryń. Harcerki na wycieczce // *fot. 1938 r.*



Prużana. Gimnazjum im. A. Mickiewicza, ognisko harcerskie // *fot. 1935 r., ze zb. H. Jakubowskiej*

»»» Polesko-Podlaski. Według raportu Okręgu, na początku listopada 1919 r. istniało na jego terenie 8 drużyn żeńskich i 4 koedukacyjne. 07.09.1919 r. odbył się zjazd Okręgu Brzeskiego. Wzięło w nim udział 240 harcerek i harcerzy, z których 48 złożyło przyrzeczenie. Działały w tym okresie drużyny w Łunińcu, Kobryniu, Pińsku. Praca harcerska odbywała się w trudnych warunkach, zbiórki odbywały się w lokalach nieogrzewanych, nie wszyscy członkowie zastępów mieli ciepłe ubrania i obuwie.

Pod koniec marca 1920 r. odbył się zjazd Okręgu Polesko-Podlaskiego, po którym dało się zauważyć przyspieszenie pracy i większą chęć działania. W kwietniu Okręg obejmował 27 drużyn męskich w 15 miejscowościach i 18 drużyn żeńskich w 12 miejscowościach.

Wśród nich w Brześciu I Drużyna im. Emilii Plater z drużynową Marią Galewską, uczennicą, i II Drużyna im. Marii Konopnickiej z drużynową Chełchąwską, urzędniczką. W Kobryniu działała I Drużyna im. Emilii Plater z drużynową Anną Bobońską, studentką, w Pińsku – I Drużyna im. Emilii Plater z drużynową Marią Piasecką, uczennicą.

Wszystkie drużyny wykazały chęć organizowania kursów dla lepszego wyrobienia zastępowych. Gdy ogłoszono, że będą zorganizowane kolonie Okręgu, zgłosiło się na nie początkowo 150 osób. Z uwagi jednak na niepewne czasy (wojna polsko-bolszewicka) w koloniach, które odbyły się w Skokach, majątku Niemcewiczów niedaleko Brześcia, wzięło udział tylko 19 dziewcząt i 29 chłopców. Opiekunką kolonii była p. Kozłowska, komendantem – ks. F.Szczerbicki. Pod koniec kolonii w Skokach przyszedł rozkaz mobilizacyjny dla chłopców. Znaczna część harcerzy i harcerek, szczególnie z tych miejscowości, gdzie było niewiele ludności polskiej (Brześć, Kobryń, Pińsk, Łuniniec) zmuszona była opuścić swe środowiska z powodu inwazji bolszewickiej, przenosząc się najpierw do Siedlec, a potem do Warszawy.

Ksiądz Szczerbicki w czasie wojny współpracował z komitetem werbunkowym do armii ochotniczej. Przeszło 20 harcerzy poległo w obronie ojczyzny.

Po ustąpieniu wojsk bolszewickich w sierpniu 1920 r. powrócił do Brześcia ksiądz Szczerbicki. Rozpoczął pracę od wizytacji poszczególnych środowisk. Chociaż spadła liczba drużyn, ponieważ nie wszyscy jeszcze wrócili do swoich miejscowości, wszędzie podejmowano różne prace pomocnicze dla wojska. Już w miesiącach jesiennych odtworzono pracę harcerską w poszczególnych miejcowościach Okręgu, 27 października 1920 roku zostali mianowani komendanci miejściowi. W r. 1920 w okręgu Polesko-Podlaskim pracowało w 20 środowiskach 30 drużyn męskich, 23 drużyny żeńskie i 7 koedukacyjnych drużyn zuchów. W Brześciu były w tym czasie trzy drużyny żeńskie (drużynowe Maria Kozłowska, Maria Makowiecka i Janina Krycka), w Pińsku – żeńska i męska, w Prużanie – żeńska (drużynowa Wasilewiczówna).

W grudniu 1921 r. Hufec Brzeski został podzielony na żeński i męski. Huwcową została mianowana Seweryna Szełchowska. Zaznaczyć należy, że przez znaczną część roku 1922 Okręg Polesko-Podlaski miał charakter koedukacyjny.

Latem 1922 r. komenda Okręgu zorganizowała koedukacyjny kurs w Dubicy pod kierownictwem ks. F.Szczerbickiego. W jego ramach



Ks. Fabian Szczerbicki

pracowały trzy drużyny żeńskie i dwie męskie.

1 i 2 listopada 1922 r. odbył się Zjazd, na którym utworzono Oddział Brzeski ZHP i powstały chorągwie – żeńska i męska. 11 stycznia 1923 r. naczelnictwo ZHP zatwierdziło skład zarządu Oddziału Brzeskiego ZHP z Janiną Jaworską jako komendantką Chorągwi Harcerek i ks. Fabianem Szczerbickim jako komendantem Chorągwi Harcerzy.

Teren działania Oddziału Brzeskiego (Poleskiego) ulegał w okresie jego istnienia pewnym zmianom, jednak zasadniczo obejmował województwo poleskie. Była to t.zw. «Polska B» – teren pozbawiony dużych miast i wyższych uczelni, ze znaczną liczbą mniejszości narodowych, słabo rozwinięty gospodarczo, ze słabą komunikacją między poszczególnymi miejscowościami. W województwie był większy niż w jakichkolwiek innych chorągwiach brak instruktorów, brak podstaw materialnych do pracy. Drugim co do wielkości miastem tego terenu był Pińsk. W odróżnieniu od peryferyjnie położonego Brześcia leżał w centrum Polesia. »»»



Drużyna żeńska



Drużyna męska

»»» Organizacja harcerstwa w Pińsku została zapoczątkowana jeszcze za okupacji niemieckiej. W r. 1915 nauczycielka z Pińska Kazimiera Zawistowiczówna założyła «Związek młodzieży polskiej» skupiający uczniów i uczennic klas starszych miejscowego gimnazjum. W r. 1916 K. Zawistowiczówna zakłada «Kółko im. Królowej Jadwigi» dla młodszych dzieci, a w r. 1917 z inicjatywy nauczycielki jednej z pińskich szkół W. Mielczarskiej powstała organizacja solidacyjna «Patrol skautowy im. T. Kościuszki». Organizacją tą od sierpnia 1917 r. zaopiekował się ksiądz K. Bukrabe, zmieniając wkrótce jej rolę i nazwę na «Kółko ministrantów». Członkowie tej organizacji Jan Czarnooki, Bronisław Wasilewski i Kazimierz Rabcewicz pod koniec 1918 r. udali się do Warszawy i zaciągnęli się do Wojska Polskiego. 22 stycznia 1919 r. wojska bolszewickie weszły do Pińska. Ale i w tym okresie praca w tych organizacjach nie tylko nie ustała, ale się nawet wzmogła. Na początku 1919 r. Kazimiera Zawistowiczówna reorganizowała Kółka młodzieżowe, tworząc z nich jedną drużynę harcerską im. Tadeusza Kościuszki. Do drużyny tej weszło 12 chłopców i 12 dziewcząt. Prace w nowo powstałej drużynie prowadzili N. Pisiecki, A. Usurowi pod kierunkiem J. Zawistowiczówny. Wiosną 1921 r. po zajęciu Pińska przez wojska polskie drużyna harcerska brała udział we wszystkich uroczystościach z okazji wyzwolenia. 21 kwietnia witała młodzież harcerska generała Antoniego Listowskiego, a 3 maja brała udział w defiladzie. W tym czasie wstępują do szeregów armii polskiej harcerze H. Korszyc i Z. Frost. Następuje wówczas reorganizacja drużyny. Nowy kierownik, żołnierz Wojska Polskiego porucznik W. Rusiecki dzieli pińską drużynę harcerską na dwie: męska im. T. Kościuszki i żeńską im. E. Plater. Opiekunką drużyn w dalszym czasie była K. Zawistowiczówna. W czerwcu 1919 r. stanął na czele obu drużyn podchorąży podporucznik M. Wędrzecki, który włożył dużo pracy i poświęcenia, aby należycie postawić młode organizacje i zapewnić im wewnętrzny rozwój. Jednak wkrótce brak sił pomocniczych zmusza M. Wędrzeckiego do połączenia obu drużyn w jedną organizację im. T. Kościuszki. Pomaga mu w tej pracy jako zastępczyni drużynowego K. Zawistowiczówna. Znająca teren i warunki miejscowe

ona była najbardziej odpowiednią współpracowniczką. W tym czasie drużyna liczyła 44 chłopców i 24 dziewcząt.

Wśród ważniejszych wydarzeń tego okresu można wyznaczyć kilka. 13 lipca 1919 r. odbyła się zbiórka drużyny w gaju leszczańskim. Brali w niej udział Szef Głównej Kwatery Naczelnictwa Harcerskiego z Kijowa H. Głass, oraz drużynowi Ejsmon z Kijowa i Polkowski z Homla. Wszyscy trzej zatrzymali się w Pińsku w drodze do Warszawy, aby dowiedzieć się o pracy harcerskiej nad Piną i jednocześnie podzielić się własnymi doświadczeniami. 17 lipca 1919 r. K. Zawistowiczówna urządziła wieczornicę harcerską, w której wziął udział generał A. Listowski. 31 lipca odbyło się poświęcenie klasztoru w Pińsku zwróconego O.O. Jezuitom po 100 latach. Poświęcenia dokonał biskup polowy Gali. Drużyna pińska brała udział w tej uroczystości.

Wieczorem 31 lipca 1919 r. przybyła do Pińska grupa 18 harcerzy i 36 harcerek z Brześcia na czele z Inspektorem Okręgowym harcerstwa księdzem F.Szczerbickim w celu pożegnania odjeżdżającego na front wołyński generała Listowskiego. Obie drużyny, pińska i brzeska, żegnały generała w gospodzie żołnierskiej. Wiersz okazyjny pożegnalny wygłosił harcerz piński Z. Makarczot, harcerz M. Dowgiełowicz wręczył go w ozdobnej szacie generałowi.

W dniu 6 września 1919 r. drużyna pińska, składająca się z 32 chłopców i 20 dziewcząt z drużynowym M. Węgrzeckim na czele, wyjechała na trzydniowy zjazd do Brześcia, gdzie w obecności generała Ostrowskiego i inspektora Okręgowego Szkolnego na ręce księdza Inspektora Okręgowego F. Szczerbickiego złożone zostało przyrzeczenie harcerskie.

Jednak rok szkolny 1919-1920 w pińskim gimnazjum im. Boboli okazał się trudnym dla drużyny harcerskiej. Dyrektor szkoły nie wyraził zgody na istnienie drużyny jako organizacji uczniowskiej. Założycielka drużyny, nauczycielka gimnazjum, K. Zawistowiczówna nie zgodziła się z taką sytuacją i do końca 1919 r. opiekowała się drużyną pińska, a także łuniniecką. W końcu października drużynowy W. Węgrzecki opuścił Pińsk, pracując nadał w harcerstwie jako instruktor. 29 października drużyna żegnała pińskiego proboszcza ks. K.Bukrabę, który opuścił miasto. Od 20 stycznia 1920 r. protektorat nad drużyną pińska objął ksiądz S. Wojcik. Opiekował się nią bardzo gorliwie, dając nawet lokal na izbę harcerską w murach klasztoru franciszkańskiego.

Do lata 1920 r. do inwazji bolszewickiej praca w drużynie odbywała się normalnie. Regularnie odbywały się zebrania rady drużyny, były organizowane wycieczki, wieczornice, pogadanki. 21 stycznia 1920 r. ks. Drwiega zorganizował gawędę na temat «O harcerzu polskim». 15 lutego i 2 maja odbyły się duże wieczornice harcerskie. Organizowano dwie wycieczki – 8 lutego do Steyczewa i 13 maja do Horodyszcza. 3 maja i 3 czerwca drużyna brała udział w pochodzie i defiladzie. W maju 1920 r. ukazał się nawet jeden numer pisemka pod tytułem «Harcerz kresowy». Redagował to pisemko Z. Makarczuk. Od marca 1920 r. pełnił obowiązki drużynowego S. Chodoniuk. Pracy reorganizacyjne jednak trwały nadal. Już w czerwcu 1920 r. znowu nastąpił podział drużyny na dwie: męską im. R. Traugutta i żeńską im. E. Plater. Drużyna męska liczyła 40, żeńska



Kazimiera Zawistowiczówna

59 członków. Wkrótce rozpoczęły się działania wojenne, które uniemożliwiły wszelką dalszą pracę.

Dopiero po zakończeniu wojny w sierpniu 1921 r. nowy dyrektor, obejmując zdewastowany gmach szkoły, musiał przede wszystkim zająć się urządzeniem samej szkoły. Szkoła liczyła tylko cztery niższe klasy, brakowało doświadczonych opiekunów. W tych warunkach sprawę założenia organizacji uczniowskiej zmuszony był odłożyć na późniejszy okres. We wrześniu 1921 r. Janina Zawistowiczówna, przyszła uczennica szkoły (siostra Kazimery), otrzymała polecenie od Ks. Fabiana Szczerbickiego, Inspektora okręgowego, zorganizowania na nowo w Pińsku harcerstwa. Dyrektor Ks. I. Mieloch podtrzymał projekt, lecz od wzięcia przyszłej drużyny pod swoją opiekę się uchylił. Pod koniec września wrócił do Pińska instruktor harcerski M. Węgrzecki i założył drużynę żeńską, wyznaczając na drużynową Janinę Zawistowiczównę. Drużyna liczyła 36 dziewcząt i składała się przeważnie z uczennic gimnazjum. Praca drużyny odbywała się »»»



Harcerze brzescy w Pińsku

»»» w murach szkolnych. Harcerki brały czynny udział we wszystkich uroczystościach szkolnych. W końcu maja 1922 r. uczniowie klasy czwartej organizowali drużynę męską, do której zgłosiło się 47 chłopców z różnych klas. Drużynowym wybrano nauczyciela p. Gili. Niestety wskutek braku odpowiedniego instruktora na miejscu drużyna męska się rozpadła. W tym samym czasie, wskutek wyjazdu do Wilna J. Zawistowiczówny, przestaje działać i drużyna żeńska.

W listopadzie 1924 r. organizuje na nowo drużynę harcerską męską im. T. Kościuszki uczeń klasy 5 Stanisław Klukowski. Za łączenie z kolegami zabiera się z młodzieńczym zapałem, inicjuje kasę oszczędności, prenumeratę pism, bibliotekę drużyny, kółka naukowe i filatelistyczne. Powstał z inicjatywy harcerzy także klub lekkoatletyczny. Drużyna liczyła najpierw 13, później 25 członków. Ale ciągły brak środków na wykonanie tylu projektów, pomocy ze strony starszych kolegów, a także trzymanie się z dala od tej placówki dyrektora szkoły utrudniało pracę harcerzy. Pod koniec października 1925 r. drużyna przestaje istnieć.

Praca znacznie się ożywiła po przyjeździe do miasta kanonika kapituły pińskiej zasłużonego dla harcerstwa księdza F. Szczerbickiego.

W r. 1929 stanowisko prefekta szkolnego w gimnazjum pińskim Ks. Kanonik J. Szczerbicki, objął dawniejszy komendant Chorągwi Męskiej, a w tym czasie Prezes Zarządu Oddziału. Od września tego roku podejmuje on prace w drużynie męskiej, a od stycznia 1930 r. – w drużynie żeńskiej. W 1930 r. męska drużyna liczyła 36, a żeńska – 33 członków. Obowiązki drużynowego pełnił J. Szemborski, drużynowej – H. Milkiewiczówna. Zbiórki drużyn odbywały się w budynku gimnazjalnym, i ksiądz kanonik i nauczyciele ściśle współpracowali w sprawach wychowawczych.

W r. 1934-1935 planowano zlot Chorągwi Poleskiej dla uczczenia piętnastolecia istnienia harcerstwa na Polesiu. W 1935 roku harcerki z Chorągwi Poleskiej wzięły udział w zlocie jubileuszowym ZHP w Spale.

We wrześniu 1935 r. funkcje komendantki Chorągwi Poleskiej (żeńskiej) objęła Alina Ratajczakowa, która mieszkała w Pińsku. Komenda Chorągwi przeniosła się więc z Brześcia do Pińska. Miało to pozytywny wpływ na rozwój harcerstwa w mieście i okolicach. Hufec piński bierze udział w organizowaniu placówki Pogotowia Harcerskiego na Polesiu. W lipcu 1938 r. zagadnienia Pogotowia zostały szczegółowo opracowane na trzytygodniowym obozie w Telechanach koło Pińska.

W latach 1936-1938 Zarząd Okręgu Poleskiego czynił starania w różnych dziedzinach: pomagał w zapewnieniu harcerstwu województwa sił instruktorskich, pozyskiwał u władz poparcia dla poczynań harcerskich, tworzył trwałe podstawy materialne dla ruchu harcerskiego na innych terenach. W Pińsku w tych latach powstała placówka gospodarcza przy pomocy poleskiej Chorągwi Harcerek. Była to pracownia krawiecko-bieliźniarska. W celu popularyzacji ruchu harcerskiego zakładano Koła Przyjaciół harcerstwa. Pod koniec lat 30-ch istniało przy jednostkach harcerskich województwa ponad 20 takich kół. Zaznaczyć należy, że w tych latach stosunek wojewody poleskiego W. Kostki-Bernackiego, Dowódcy Okręgu IX Korpusu gen. bryg. F. Kleeberga, a także Kuratorium Okręgu Szkolnego Brzeskiego do harcerstwa był bardzo pozytywny i opiekuńczy. Pomagało to w realizacji zadań wychowawczych harcerstwa na Polesiu.

dr Tamara KABOT

WYCIECZKI NAD DAWNĄ GRANICĘ.
MIASTECZKO SNÓW



Pałac Rdułtowskich

Leżące na szlaku z Baranowicz do Nieświeża miasteczko Snów w międzywojniu nie zyskało sławy podobnej do Rakowa. Położone blisko granicy polsko-sowieckiej wcale nie było centrum kryminalnym, ani też rajem dla przemytników. Zasługuje jednak na uwagę ze względu na swoje ciekawe dzieje i zabytki.

Pierwszymi, znanymi z dokumentów, właścicielami tej miejscowości byli Radziwiłłowie. Potem Snów przeszedł na własność Haraburdów pieczętujących się Habdankiem, by wreszcie drogą kupna trafić do rodu Rdułtowskich herbu Drogosław. Za klucz snowski Jan Hieronim Rdułtowski w 1639 roku zapłacił 13 600 kop groszy litewskich.

Ród Rdułtowskich herbu Drogosław był jednym z najpotężniejszych i najbogatszych szlacheckich familii na Kresach dawnej Rzeczypospolitej. Rdułtowscy pochodzili z Ziemi Kujawskiej, a na Litwie i Białej Rusi zamieszkali dopiero w XVI stuleciu. Od razu dobrze zarekomendowali siebie na służbie państwowej będąc urzędnikami, wodzami, biorąc udział w pracy Sejmów. Wdzięczni królowie mianowali ich na wysokie i odpowiedzialne stanowiska, przy tym dopełnieniem do urzędów często były solidne włoście pomnażające fortunę tego rodu.

Jak pisze Roman Mirowski, za protoplastę snowskiej linii Rdułtowskich uważa się Jana Bogumiła, żyjącego w latach 1665-1744, pełniącego urząd kasztelana nowogródzkiego, żonatego z Heleną z Wańkowiczów. Syn Jana Bogumiła – Antoni Jerzy (1700-64), ożeniony z Justyną Chłusiewiczówną, miał dwóch synów: Joachima Hipolita i Jana Chryzostoma. Pan Joachim był dwukrotnie żonaty; najpierw poślubił pannę Teresę Jeleńską, a po jej śmierci ożenił się z Marianną Rejtanówną, siostrą Tadeusza Rejtana. Córka Joachima Hipolita wyszła za mąż za Adama Wawrzyńca Rzewuskiego, z którego to związku urodził się znany pisarz Henryk Rzewuski, autor «Pamiątek Soplicy», a także dwie córki, po mężach noszące nazwiska: Karoliny Sobańskiej i Eweliny »»»

»»» Hańskiej. Ta druga przeszła do historii Polski i Francji oraz do dziejów literatury jako pani de Balzac.

Jan Chryzostom Rdułtowski był nie tylko znakomitym gospodarzem, ale w ogóle człowiekiem posiadającym «głowę do interesów». Po śmierci starszego brata, Joachima Hipolita, wykupił pozostającą po nim część dóbr, stając się w efekcie panem na przeszło 240 tysiącach dziesięcin ziemi, co śmiało uznać można było za fortunę godną miana «magnackiej». W 1784 roku w dowód uznania jego zasług snowską rezydencję odwiedził w drodze do Nieświeża ostatni król Rzeczypospolitej Stanisław August Poniatowski.

Spadkobierca Jana Chryzostoma, Kazimierz Rdułtowski, poślubił swą przyrodnią siostrę Teresę. Podobno uzyskanie papieskiej zgody na ślub przyrodniego rodzeństwa kosztowało ogromną sumę, ale jak mówili złośliwi, a zarazem dobrze poinformowani: «na biednych nie trafiło». Kazimierz Rdułtowski był zresztą nie tylko bardzo bogaty. Był także wybitną osobowością. Dzieciństwo i młodość spędził w Anglii, uzyskując w Oxfordzie tytuł doktora filozofii. I choć nie studiował ani rolnictwa ani politechniki, gdy wrócił do ojczyzny i zabrał się do gospodarowania, odnosił sukcesy zarówno w rolnictwie jak również w przemyśle. Na przykład, założył i prowadził wielką fabrykę sukna w Odachowie. Pełnił też urząd marszałka szlachty nowogródzkiej, był kawalerem maltańskim, w roku 1810 towarzyszył księciu Druckiemu-Lubeckiemu w delegacji do cara Aleksandra, a dwa lata później, jako prezydent Komisji Wojskowo-Cywilnej podejmował brata Napoleona, Hieronima Bonaparte. Za czasów Kazimierza snowska rezydencja Rdułtowskich stała się też miejscem tragedii. W 1829 roku jego starszy syn Konstanty gościł Ludwiga Spitznagla, z którym zaprzyjaźnił się w czasie studiów na

Kościół pw. św. Jana Chrzciciela



Uniwersytecie Wileńskim. Ludwig Spitznagel, uznany już mimo młodzieńczego wieku za poetę, serdeczny przyjaciel Juliusza Słowackiego, zakochał się podczas pobytu w Snowiu w siostrze Konstantego, Amelii Rdułtowskiej, a kiedy jego oświadczyny spotkały się z jej odmową, strzelił sobie z pistoletu prosto w serce.

Talentów ekonomicznych Kazimierza nie odziedziczył jego spadkobierca Eustachy. Pasją jego była poezja. Eustachy urządzał literackie imprezy, przekładał na język angielski utwory Mickiewicza i tracił astronomiczne sumy na rozrywki. Odziedziczył Snów chyba tylko po to, aby go stracić. Krążyły nawet plotki, ze przegrał miasteczko w karty. Z uzyskanej tytułem spadku ogromnej fortuny Eustachy przekazał swym dzieciom zaledwie trzy folwarki.

Rdułtowskim Snów zobowiązany jest swoimi głównymi zabytkami. Są to ogromny późnoklasycystyczny pałac, barokowy kościół pw. św. Jana Chrzciciela oraz cerkiew prawosławna pw. św. Kosmy i Damiana w Górnym Snowiu.

Kościół fundacji Jana Chryzostoma Rdułtowskiego został zbudowany w 1760 roku. W krypcie kościelnej spoczywają fundator świątyni oraz chorąży nowogródzki Karol Adam Rdułtowski. Natomiast dokładna data powstania pałacu nie jest znana – datowanie budowy stanowiło przedmiot sporu, istniało bowiem na ten temat kilka całkiem sensownych teorii, w tym jedna zakładająca, że pałac zbudowany został już w roku 1760, a w każdym razie przed 1784, gdyż gościć w nim miał wówczas król Stanisław August. Być może był to inny, wcześniejszy pałac, lub jakiś etap jego budowy, w każdym razie oficjalnie uważa się, że ocalała do roku 1939 rezydencja Rdułtowskich powstała w pierwszej ćwierci XIX stulecia. Będąc katolikami Rdułtowscy fundowali w 1836 roku w Snowiu cerkiew prawosławną, bowiem większość »»»

Cerkiew prawosławna pw. św. Kosmy i Damiana





Dwór Hartinghów
w Górnym Snowiu

»»» miejscowej ludności chrześcijańskiej należała do prawosławia.

W 1854 roku Snów przeszedł w ręce Hartinghów, którzy byli właścicielami miejscowych dóbr do wybuchu II wojny światowej. Ród Harthingów pochodził z Holandii. W 1803 roku porucznik Marcin Hartingh trafił na służbę rosyjską, brał udział w wojnach z Napoleonem i zrobił w cesarstwie Romanowów niezłą karierę wojskową. Jego syn Gustaw, który też służył w armii rosyjskiej, został pierwszym właścicielem Snowia z rodu Hartinghów. Warty jednak uwagi jest fakt, że już dzieci Gustawa całkowicie się spolszczyły i rozpatrywały Polskę jako swoją jedyną ojczyznę. Syn Konstanty, będąc na studiach w Belgii, podczas powstania styczniowego przyjechał do Królestwa, by w oddziale Mariana Langiewicza walczyć o sprawę polską. Córka zaś Alina, która została żoną Józefa Reytana, znana była jako gorąca patriotka polska i dobroczynka. Aresztowana w 1939 roku przez NKWD została wysłana do Kazachstanu. W XX wieku Hartinghowie też bohatersko walczyli za Polskę. Konstanty Hartingh, syn powstańca styczniowego o takim samym imieniu, ukończył kurs zawodowy w Szkole Podchorążych Artylerii w Poznaniu. Jako dowódca baterii w 4 dywizjonie artylerii konnej brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej i został odznaczony krzyżem Virtuti Militari V klasy.

Jeszcze w XIX wieku majątek snowski został przez rodzinę Hartinghów podzielony. W Górnym Snowiu został zbudowany dwór w stylu klasycystycznym, w którym mieści się obecnie szpital wiejski. Ostatni właściciel dworu Marceli Hartingh jako podporucznik rezerwy brał udział w kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli sowieckiej i został zamordowany w Katyniu.

Co dotyczy dawnego pałacu Rdułtowskich, znacznie został on uszkodzony w czasie I wojny światowej. Około 1925 roku ostatni właściciel Dolnego Snowia Henryk Hartingh nie mając środków do utrzymania tak wielkiej rezydencji sprzedał pałac Korpusowi Ochrony Pogranicza. Od 1927 roku trwała restauracja zabytkowego gmachu według projektu Tadeusza Nowakowskiego. Nowi właściciele przysposobili pałacowe wnętrza do celów wojskowych. Józef Żmigrodski, autor przewodnika «Nowogródek i okolice» pisał, iż w latach 1929 – 1930 urządzono w dawnym pałacu mieszkanie oficerów KOPu, kancelarię, kasyno oficerskie. Obok zaś pałacu wybudowano duży gmach koszar, w których zostali umieszczeni

żołnierze rozlokowanego w Snowiu baonu Korpusu Ochrony Pogranicza. W taki sposób zaczęła się «pograniczna» kartka w dziejach miasteczka.

Korpus Ochrony Pogranicza został utworzony w 1924 roku, by walczyć z bandytyzmem, przemytnictwem oraz agitacją sowiecką na wschodniej granicy II Rzeczypospolitej. Żołnierze KOPu powinni byli stale nadzorować graniczny ruch osobowy i towarowy, śledzić i ujawniać nielegalne przekroczenia granicy. Opłakany stan bezpieczeństwa, jaki oddziały KOPu zastały na wschodnim pograniczu, ustawiczne napady, morderstwa rabunkowe zmuszały do stosowania z całą surowością przepisów o użyciu broni palnej.

Jesienią 1927 roku, w ramach czwartego etapu organizacji Korpusu Ochrony Pogranicza, został sformowany 27. batalion odwodowy. Jednostka składała się z trzech kompanii piechoty, plutonu łączności i plutonu ckm. Batalion liczył 22 oficerów, 164 podoficerów i 501 szeregowców. 1 listopada 1927 sformowany już batalion przesunięto do Sieniawki. Dwa lata później jednostkę przemianowano na batalion KOP «Snów» i rozlokowano w miejscowości o odpowiedniej nazwie. W 1937 roku, gdy rozpoczęła się kolejna reorganizacja Korpusu Ochrony Pogranicza, został sformowany pułk



Posterunek Policji Państwowej w Snowiu



Rodzina Hartinghów przed domem w Górnym Snowiu



Gustaw Hartingh, pierwszy właściciel Snowia z rodu Hartinghów

«Snów». W jego skład włączono bataliony «Kleck», «Stołpce» i «Snów» oraz szwadrony «Kleck» i «Stołpce», a także kompanię saperów «Stołpce». Pułkowi podporządkowano też stację gołębi pocztowych KOP «Baranowicze». Dowództwo nowej jednostki znajdowało się w Baranowiczach.

W 1937 roku ustalono dla pułku następujący podział ochranianego odcinka granicy państwowej:

– granica północna: odcinek strażnicy «Bardzie» 5 kompanii granicznej «Stasiewszczyzna»

– granica południowa: odcinek strażnicy «Helenowo» 2 kompanii granicznej «Woronino»

»»»



Nagrobek plutonowego Jana Krzemienieckiego

»»» wewnątrz pułku:

– granica południowa baonu «Stołpce»: odcinek strażnicy «Lozowicze» 2 kompanii granicznej «Siełowicze».

Na miejscowym cmentarzu katolickim zlokalizowanym obok drogi do stacji kolejowej Chwojewo jest kilka nagrobków świadczących o niełatwej pogranicznej przeszłości miasteczka. Pierwszy należy Janowi Kowalskiemu, nauczycielowi, zabitemu w 1924 roku przez «zbrodniczą rękę», drugi zaś Janowi Krzemienieckiemu, plutonowemu batalionu «Snów», który zginął w 1936 roku «od kuli zdrajcy». Jak widać, bandytyzm i akcje dywersyjne nie ominęły Snowia w okresie międzywojennym.

Przed wybuchem II wojny światowej pułk KOP «Snów» ochraniał w południowej Nowogródczyźnie odcinek o długości 132,640 km. Jednostką dowodził ppłk Jacek Jura. Pułk składał się z dwóch baonów granicznych: «Stołpce» i «Kleck» (batalion «Snów» zmobilizowano w ramach mobilizacji częściowej zarządzonej 23 marca 1939 roku). W dniu sowieckiej agresji na Polskę Pułk KOP «Snów» został zaatakowany przez oddziały Dzierżyńskiej Grupy Konno-Zmechanizowanej komkora Iwana Bołdina, komdywa 4. Armii Wasilija Czujkowa oraz 16. i 17. Oddziału Wojsk Pogranicznych NKWD. Wobec miażdżącej przewagi nieprzyjaciela i zniszczenia pododdziałów granicznych, pułk we wczesnych godzinach rannych 17 września odszedł z dotychczasowych miejsc postoju.

Po zakończeniu II wojny światowej i włączeniu w skład ZSRR Snów stracił status miasteczka. Obecnie to wieś w rejonie nieświeskim słynna z zakładu produkującego wyroby mięsne. Dawny pałac Rdułtowskich nadal należy wojskowym. Z tego powodu, niestety, nie wolno tam wchodzić. Położony w okolicy płaskiej, pozbawionej wielkich lasów i rzek, Snów robi wrażenie ośrodka cywilizacji wśród bezkresnych stepów. Z tego powodu wydaje się czasem, że dawne miasteczko nadal leży na granicy.

Dymitr ZAGACKI



Żołnierze KOPu przed dawnym pałacem Rdułtowskich

CO SIĘ STAŁO W RENDZIŁOWSZCZYŹNIE?

Jesienią 1920 roku oddziały Wojska Polskiego po zwycięskiej bitwie niemeńskiej nacierały w stronę Mińska. 29 września dywizja gen. Krajnowskiego zdobyła Pińsk, biorąc do niewoli 3 tysiące jeńców, następnego dnia pułki wielkopolskie zdobyły Baranowicze. 1 października, gdy Polacy już tylko ścigali wycofujących się czerwonoarmistów, odbyła się jedna z ostatnich tragedii wojny polsko-bolszewickiej. W Rendziłowszczyźnie w powiecie słonimskim (obecnie obwód grodzieński) bolszewicy zamordowali pięciu miejscowych Polaków: Adama Czerechowicza, Jana Horotko, Wincentego Jewfimika, Bolesława Malewskiego oraz Piotra Rutkowskiego. Nie ma żadnych danych dotyczących ofiar zbrodni. Nie wiadomo też, za co zostali skazani na śmierć. Podczas wojny czerwonoarmiści dokonywali egzekucji podejrzanych we współpracy z Polskim Wojskiem lub krewnych żołnierzy. Na przykład, 19 marca 1919 roku na dziedzińcu zamku w Mirze zamordowano grupę Polaków m.in. Aleksandra Haciskiego, Mariana Bronowskiego, księdza Wincentego Łotarewicza z Iszkołdzi. Zgodnie z azjatycką metodą bolszewicy brali także ludzi, zwłaszcza ziemian i księży, jako zakładników. Zabici w Rendziłowszczyźnie prawdopodobnie byli zakładnikami, których zabito przed nadejściem do miejscowości polskich wojsk.



Pomnik w Rendziłowszczyźnie
Tablica inskrypcyjna



Po zakończeniu wojny prochy zabitych pochowano na cmentarzu obok kościoła pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa. W latach 1920ch na miejscu pochówku wzniesiono przez Ministerstwo Robót Publicznych betonowy pomnik w kształcie prostopadłościennej skrzyni o podstawie prostokątnej. Na niej centralnie na cokole mieści się niewielki obelisk zwieńczony krzyżem. Na podstawie obelisku jest wnęka z tablicą inskrypcyjną zawierającą informacje o pochowanych oraz tekst:

«Zamordowani przez bolszewików dnia 1.X.1920 r.»

Pomnik znajduje się w południowo-wschodniej części cmentarza katolickiego, zlokalizowanego na południowo-zachodnim skraju miejscowości, około 40 m od kościoła. Grób jest zadbany, opiekę nad nim sprawują na pewno wierni miejscowej parafii.

Zwracamy się z prośbą do naszych Czytelników: być może ktoś zna krewnych spoczywających na cmentarzu w Rendziłowszczyźnie Rodaków, oraz okoliczności powstania pomnika

Dymitr ZAGACKI

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA

W głuchej puszczy, przed chatką leśnika...

Podobnie jak w wierszu Adama Mickiewicza, opisana niżej tragedia zdarzyła się w głuchej puszczy, lecz w lutym 1918 roku na Polesiu.

11 lutego 1918 roku z Bobrujska do Warszawy wyruszyła delegacja I Korpusu Polskiego. Składała się z pięciu osób: przewodniczącego w osobie dowódcy 1. Pułku Ułanów pułkownika Bolesława Mościckiego, ppor. Bispinga, podkapitana Maruszewskiego, chor. Żaboklickiego oraz ochotnika-ułana Witolda Wańkowicza. Delegacja była eskortowana przez dwa szwadrony 1. Pułku Ułanów w sile 120 szabel i 2 karabinów maszynowych. Miała przedostać się przez linię frontu i dotrzeć do Rady Regencyjnej.

Zgodnie z relacją rtm. Bronisława Romera, dowódcy 3 szwadronu, 16 lutego oddział dotarł do Łopatycz, gdzie przeprawił się przez rzekę Szczarę. Znajdujący się w Łopatyczach żołnierze z 15. Syberyjskiej Dywizji zaczęli ostrzeliwać polskie patrole, wyjeżdżające już ze wsi. Pułkownik Mościcki wydał rozkaz do ataku na tłum strzelających bolszewickich żołnierzy. Szwadrony zaatakowały w szyku konnym, ale musiały się wycofać. Ułani spieszyli się i tyralierą zaczęli ostrzeliwać wieś, poczym rozpoczęli natarcie. Wieś została opanowana, a bolszewicy uciekli. W boju poległ ppor. Łebkowski, podoficer Mroziński oraz ułani Śledź i Sitarek. Rannych i zaginionych było 17 żołnierzy. We wsi naliczono 12 zabitych i kilkunastu rannych bolszewików, oprócz tych, którzy polegli w polu. Po uzyskaniu wiadomości, że dalsze wsie są także obsadzone przez oddziały bolszewickie, Bolesław Mościcki zdecydował się przekradać dalej bez asysty szwadronów, które otrzymały rozkaz powrotu do Bobrujska.



Pułkownik Bolesław Mościcki

18 lutego delegacja przebrała się w ubrania cywilne i już tylko z dwoma ułanami ruszyła w dalszą drogę. Jeszcze raz się podzielono – Mościcki i pkpt.Maruszewski stworzyli jedną grupę, a chor. Żaboklicki, ppor. Bisping i ułan Wańkowicz – drugą.

W okolicy leśniczówki Dub na pierwszą grupę napadli bolszewicy i uzbrojeni chłopi. Podczas strzelaniny w lesie zginął pułkownik Mościcki a pkpt. Maruszewski został aresztowany. Prawie jednocześnie została aresztowana druga grupa, którą bolszewicy osadzili w więzieniu w Łunińcu.

Na wieść o śmierci dowódcy wyruszyła z pułku ekspedycja karna. Wierni ułani odebrali ciało swojego dowódcy i pochowali je najpierw w Mińsku, przy tym za trumną

ze zwłokami szedł jego koń, Krechowiak okryty kirem. Zaś w 1921 roku zwłoki pułkownika złożono w krypcie kościoła św. Krzyża w Warszawie, gdzie spoczywają do dziś. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski pośmiertnie odznaczył go krzyżem Virtuti Militari, zaś pułk ułanów, którym dowodził, przybrał także jego imię. W 1934 roku w Łomży, mieście, w którym ukończył gimnazjum, imieniem Bolesława Mościckiego nazwano ulicę.

Postać pułkownika Bolesława Mościcikiego okazuje się ze wszech miar godna miana bohatera. Urodzony w 1887 roku w Wysokiem Mazowieckiem, tam też i potem w Łomży pobierał nauki. W 1902 roku ukończył szkołę oficerską i odkomenderowano go do oddziałów jazdy zaamurskiej w Mandżurii. Brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej, a następnie w I wojnie światowej, gdzie zasłynął jako doskonały kawalerzysta, zdobył szereg rosyjskich odznaczeń wojskowych oraz złotą szablę i został awansowany do stopnia pułkownika. 18 lipca 1917 roku objął dowództwo 1. Pułku Ułanów Polskich w armii rosyjskiej. Już kilka dni później Mościcki musiał bronić Stanisławowa przez zrewoltowanym i zbolszewizowanym wojskiem rosyjskim, które grabiło mieszkańców, a 24 lipca dowodził w słynnej bitwie pod Krechowcami nieopodal Stanisławowa, gdzie jego pułk liczący 400 szabel i nie zaopatrzony w broń maszynową przeprowadził 6 szarży na 4-5-krotnie liczniejszego nieprzyjaciela, poza tym wykonał także szarżę na nieprzyjacielską kawalerię, która nie przyjęła bitwy. A następnie wycofał się. Dało to Rosjanom czas do odwrotu. Opis tej bitwy zostawił sam dowódca. Jego pułk po tej bitwie nazywany był 1. Pułkiem Ułanów Krechowieckich. Ze Stanisławowa Bolesław Mościcki wysłał do Rady Stanu w Warszawie list następującej treści:

«Dowódca pułku przesyła te kilka słów, które chciał wypowiedzieć przy pożegnaniu: polscy ułani spełnili jedynie swój obowiązek żołnierski i stanęli w obronie honoru armii rosyjskiej, w szeregach której, związani przysięgą i poczuciem obowiązku żołnierskiego walczą. Korzystając ze szczególnej okoliczności, prosimy Radę sławetnego miasta Stanisławowa o przesłanie wyrazów Czci, Miłości, Wierności i synowskiego przywiązania do Ukochanej, Zbolałej i Zniszczonej Ziemi Ojczystej Naszej. Jedynym promieniem jasnym, który nam żyć każe, jest »»»



[illegible] 24-go sierpnia [illegible] 10-ej [illegible]

Bohatera Krechowiec i Stanisławowa

†

pułkownika

BOLESŁAWA

MOŚCICKIEGO

[illegible]

1-szy pułk Ułanów Krechowieckich
im. pułkownika Bolesława Mościckiego.

Ogłoszenie o uroczystości żałobnej przeniesienia zwłok Bolesława Mościckiego do Bazyliki św. Krzyża w Warszawie



Tablica w Bazylice św. Krzyża w Warszawie, w której spoczywają zwłoki pułkownika



Pomnik w miejscu śmierci Bolesława Mościckiego // *Fot. Mariusz Proskień*



Tablica inskrypcyjna //*Fot. Mariusz Proskień*

»»» głębokie przekonanie, że ta ukochana Polska Nasza zmartwychwstaje teraz z gruzów i podnosi się do nowego życia, wspaniała, niepodległa i silna. Przodownikowi i budzicielowi militarnego a rycerskiego ducha Polaków, generałowi Piłsudskiemu, wiernemu synowi Ojczyzny – czołem! … Niech żyje przyszła potężna polska armia, ostoja Wolności, Niepodległości Ojczyzny naszej! A gdy ta Święta, nareszcie zjednoczona, świtać światu będzie, to wszyscy Jej synowie, po świecie rozsiani, w Niej swe miejsce odnajdą i Jej tylko służyć będą. … Niech zagrzmi nad wszystkimi nasze hasło najświętsze: niech żyje Wolna, Niepodległa, Zjednoczona Polska».

Nagła śmierć w poleskim gąszczu przerwała świetną karierę Bolesława Mościckiego. W 1930 roku w miejscu śmierci pułkownika wzniesiono pomnik z ciosów kamiennych w kształcie obelisku zwieńczonego krzyżem. Na granitowej tablicy wyryto napis:

«Tu poległ bohaterską śmiercią w walce o wolność Ojczyzny ś. p. Pułkownik Bolesław Mościcki Dowódca Krechowieckich Ułanów • dn. 18 Lutego 1918 r.»

Jest to jeden z najmniej odwiedzanych pomników z okresu odrodzenia Państwa Polskiego i walk o ustalenie jego granic na terenie Białorusi, ponieważ jest położony głęboko w lesie. Uroczysko Dub jest położone pomiędzy Deniskowiczami a wsią Wielkie Czuczewicze, na trudnodostępnym i podmokłym terenie. Można tam dojechać jedynie furmanką lub traktorem. Okoliczność owa uratowała jednak pomnik przed zniszczeniem w latach powojennych.Dziś zagrożeniem wobec pomnika występują czas i przyroda. W złym stanie jest tablica inskrypcyjna. Niezbędne prace konserwacyjne pomogą zachować zabytek dla następnych pokoleń.

Dymitr ZAGACKI

ДОБРА ПРАЦУЕШ, ВОРАГ НАРОДА!

АЛЯКСЕЙ БЕЛЫ

Сынам ворага народа яго, яшчэ падлетка, назвала настаўніца. За гэта ён узарваў школьную прыбіральню, кінуўшы туды гранату. У інстытут яго не прынялі таксама з прычыны «нядобранадзейнасці» бацькі. А вайсковы палітрук увогуле на ўсё жыццё пазбавіў яго хрышчонага імені – Хэнрык, упісаўшы ў ваенны білет расейскае «Геннадий» .

Хэнрык Януш нарадзіўся ў Баранавічах у 1931 годзе. Яго бацьку прыслалі ў гэты горад з польскага Катовіцэ недзе ў канцы дваццатых. Тут Юзэф пазнаёміўся з мясцовай дзяўчынай, бацька якой паходзіў з вёскі Лясная, што недалёка ад Баранавіч, і ажаніўся. Цешча Юзэфа была чыстакроўнай немкай. Сям'я гэтая жыла нябедна, мелі сваю пякарню, дзе выраблялі хлеб для значнай колькасці жыхароў горада. Але ў 1914 годзе, калі пачалася вайна, паехалі ў бежанства ў Варонеж: маці Юзэфавай жонкі чамусьці вельмі баялася землякоў, лічыла іх гвалтаўнікамі. З ад'ездам дапамог сусед, які працаваў машыністам. У 1922 годзе яны нарэшце вярнуліся з савецкай Расіі ў Заходнюю Беларусь і шмат распавядалі, які ў той далёкай краіне холад, голад, як там здзекваюцца з людзей. У Стоўбцах выгнаннікаў сустракалі хлебам-соллю, а ў Баранавічах сям'я зноў аднавіла працу сваёй пякарні і забяспечвала печывам усё наваколле станцыі Баранавічы Палескія, насупраць якой яны жылі.



Фота Хэнрыка падчас заканчэння ім першага класа польскай школы.

Бацька Хэнрыка, як было сказана вышэй, патрапіў у гэты горад недзе ў 1929м. Быў ён вайскоўцам, але ў 1933м перайшоў у вольнанаёмныя і працаваў у ваенным гарадку. У 1939м, калі Хэнрыку было сем з паловай год і ён скончыў першы клас польскай школы, з Усходу прыйшлі «вызваліцелі». Бацьку яго энкавэдзісты хапалі некалькі разоў, але заўсёды адпускалі: ён быў добрым спецыялістам, ведаў усе камунікацыі ў ваенным гарадку, а добрыя майстры былі патрэбныя і савецкай уладзе. Хэнрык пайшоў у другі клас рускай школы. Але ў сям'і гаварылі па-польску, як і большасць жыхароў тагачасных Баранавіч. Беларуская ж мова была пераважна мовай вёскі. Таму вучыцца хлопчыку было вельмі цяжка. З яго смяяліся настаўнікі, упікаючы: «Глядзіце, якія «пшэкі» ў нас вучацца!» Самастойным і прадпрымальным людзям стала жыць няпроста. А вось камісары, як расказвае Хэнрык Януш, дазвалялі сабе ўсё. Прыйшлі аднойчы да іх у хату, убачылі выдатны дыван, папрасілі пазычыць на сваю гулянку, абяцалі вярнуць, але так і пакінулі сабе. Між тым, хоць бацька быў патрэбным уладзе спецыялістам, сям'ю Янушаў усё ж уключылі ў спісы на высылку ў Сібір. Была прызначана і дата – 23 чэрвеня 1941 года. Але тут пачалася вайна. Прыйшлі немцы, бацьку забралі.

»»»

»»» Усе ў наваколлі ведалі, што бацька Хэнрыка добра валодае нямецкай мовай, бо некалі сем гадоў правучыўся ў нямецкай школе. Гітлераўцам, якія засялілі ваенны гарадок, таксама патрэбны былі добрыя майстры. Таму вязня выпусцілі, і ён пачаў працаваць слесарам па энергетыцы. А ў 1944м годзе, калі прыйшла Чырвоная Армія, у рамонтна-пракатную базу пры чыгунцы пайшоў на працу і Хэнрык. Перад гэтым у школе і адбыўся інцыдэнт з настаўніцай, якая назвала яго сынам ворага народа. Зброі тады хапала ва ўсіх – толькі скончылася вайна. Хлапчук узяў гранату і кінуў яе ў школьную прыбіральню, якую разнесла ўшчэнт. У выніку яго на агульнай лінейцы выключылі з навучальнае ўстановы. А ў час працы на базе палонныя немцы навучылі яго такарнай і фрэзернай справе, што потым вельмі спатрэбілася ў жыцці. Бацька працаваў і пры «другіх саветах» па той за спецыяльнасці, слесарам. Але ён быў пад пільным наглядам НКУС. Недзе ў сорак шостым годзе у іх дом на пастой «прымацавалі» супрацоўніка НКУС па прозвішчы Сяльвестраў. Сям'я яго на той час была ў Маскве, а сам ён служыў у Баранавічах (будынак НКУС знаходзіўся якраз недалёка ад вуліцы Азёрнай, дзе жыла сям'я Янушаў). Аднойчы службовец залез на гарышча, а спусціўшыся адтуль, паведаміў гаспадарам, што пацёк дах. Супрацоўнік карных органаў, пэўна, і не падумаў, што гаспадары адразу возьмуцца за рамонт. Між тым, Хэнрык палез да коміна звонку, а яго брат – на гарышча. І там, у падстрэшшы, натрапіў на пісталет з патронамі, загорнуты ў газету. Калі брат паклікаў Хэнрыка і паказаў знаходку, той разабраў зброю і кінуў часткі пісталета ў глыбокую яму пад прыбіральняй. А назаўтра з ператрусам наляцелі энкавэдзісты. Быў з імі і Сяльвестраў. Адразу кінуліся на гарышча, але нічога там не знайшлі. «Кватарант» пачаў катаваць Хэнрыка, дапытвацца, дзе зброя. «Я табе мазгі

Пасведчанне аб нараджэнні Хэнрыка Януша



Сям'я Янушаў, бацька Хэнрыка – Юзэф – крайні злева, з бутэлькаю ў руках, побач маці Хэнрыка, сам ён другі справа, у мундзіры стаіць брат бацькі Эрвін

дастану!» – вішчаў ён. Але хлопец ні ў чым не прызнаўся. Урэшце службоўцы з'ехалі. Недзе знік і больш не з'яўляўся ў іх хаце і Сяльвестраў.

Прыгадвае Хэнрык яшчэ адзін выпадак з таго часу. Спецслужбоўцы аднойчы прывязалі вяроўкаю да будкі на ўваходзе ў сваю ўстанову святара і прымусілі яго гаўкаць па-сабачы. І гэтае «Гаўгаў» даносілася аж да Палескага вакзала.

У 1947м бацьку Хэнрыка арыштавалі. Ужо потым родныя даведаліся ад яго, што следчы на допыце спытаў: «Чаму засталіся працаваць пры немцах, чаму ў партызаны не ішлі?». «У мяне чацвёра дзяцей і жонка, я баяўся», – адказаў Юзэф. «А ці добра пры немцах працавалася?», – дабіваўся следчы. «Вядома, добра», – не стаў маніць бацька. «Вось за тое, што добра працаваў, маеш тры гады вольнага пасялення», – прагучаў прысуд.

Асэнсоўваючы такія чалавечыя лёсы, міжволі прыходзіш да пэўных думак, высноў, вобразаў. Так напісаўся верш «Ад імя бацькоў».

Усё пачалося нядзельным світанкам:
Крыжы самалётныя нізка…
Шэсць дзён не прайшло, а нямецкія танкі
Ужо шыбавалі па Мінску.
На плечы куфайку, манаткі ў ахапку,
Ні сцен, ні цяпла, ні пасцелі…
Куды падзяваліся вашыя шапкі,
Якімі закідваць хацелі?
…Пры дзецях, нямоглых старых і пры працы (няважна, якое хто нацыі)
Вы кінулі нас тут, каб потым спытацца: «Дзе быў ты ў часы акупацыі?!»

Юзэфа павезлі ў бок Магадана. Па словах вязня, везлі іх па 100 чалавек у «цялятніку». Не было нават дзе прылегчы, таму спалі па чарзе. Людзі паміралі як мухі. Нябожчыкаў проста выкідвалі з вагонаў. З іхняга вагона да места »»»





Фота бацькі ў шапцы і ў акулярах – падчас знаходжання ў высылцы ў Краснаярску

»»» прызначэння даехала толькі 7 чалавек. Юзэф, даехаўшы да Краснаярска, важыў усяго 40 кілаграмаў. Уратавалі людзі. Адна жанчына забрала да сябе. Ад'еўся, ачуняў, пачаў працаваць. Рамантаваў там машыны – «Масквічы», грузавікі, замежныя маркі. У 1950м вярнуўся дадому. Але прыйшлі міліцыянты, сказалі, што ў горадзе ворагу народа жыць нельга. Пачалося бадзянне па навакольных вёсках – месяц жыў у адной, месяц у іншай. Улады прапаноўвалі сям'і эміграваць у Польшчу. Але маці адмовілася. І бацька праз тры месяцы бадзяння вырашыў вярнуцца на месца высылкі, у Краснаярск, дзе завёў новую сям'ю. Хэнрык у той час быў прызваны ў войска і служыў на аэрадроме ў Смаленску. Там яго і «перахрысціў» палітрук, выпісаўшы вайсковы білет на імя Януша Генадзя і сказаўшы, што ніякія Хэнрыкі краіне не патрэбны, трэба насіць «нармальнае» расейскае імя. Як расказвае «перайменаваны» Генадзь Януш, такі жыццёвы выпадак быў не адзіны. Сусед яго, які зваўся Янэк, стаў Іванам. Другі сусед, Яцэк Кабыляк, стаў Іванам Арловым, Рычард стаў Грышам…

У 1956м Генадзь паехаў да бацькі ў Краснаярск на заробкі. Папрацаваў там токарам тры гады. Бачыў, якім запатрабаваным спецыялістам быў яго бацька (той па-ранейшаму рамантаваў машыны). Яго ведаў увесь горад, людзі шанавалі за залатыя рукі. Калі Генадзь вярнуўся на радзіму, то вырашыў падацца ў інстытут на завочнае аддзяленне. У сталіцы Беларусі добра здаў экзамены, але… тут, ужо ў 1959 годзе, яму зноў нагадалі, што ён – сын ворага народа. У выніку юнак не прайшоў мандатную камісію. І ўсё ж жаданне вучыцца перамагло. Генадзь паехаў у Маскву, паступіў завочна ў палітэхнічны інстытут і паспяхова яго скончыў. Пасля працаваў галоўным механікам на «Баранавічыдрэў», дзе яго ведалі – раней ён быў там токарам. У горадзе пачалі будаваць камбінат жалезабетонных канструкцый, Янушу прапанавалі пасаду галоўнага канструктара, на якой і адпрацаваў 16 гадоў. Увесь гэты час яго настойліва клікалі ў партыйныя шэрагі, але ён заўсёды цвёрда адказваў «Не!» У выніку давялося мяняць месца працы: беспартыйныя на высокіх пасадах не затрымліваліся. Пасля гэтага

Генадзь Іосіфавіч дзесяць гадоў быў загадчыкам станочнай лабараторыі на заводзе аўтаматычных ліній, зрабіў за ўвесь час працы шмат вынаходстваў, падаў сотні рацыяналізатарскіх прапаноў. З жонкай Наталляй Уладзіміраўнай, эканамістам па прафесіі, выгадавалі сына і дачку.

Як прызнаецца наш герой, яму асабліва няма за што любіць савецкую ўладу і тых, хто настальгуе па ёй сёння. Бо бацьку зрабілі ворагам народа, яго самога лічылі сынам ворага. Адзін з бацькавых братоў забіты ў Катынскім лесе, другі загінуў у Сібіры. Радня раскіданая па ўсім свеце – ад Польшчы да Аўстраліі. Лісты ад родзічаў раней ішлі і з Канады, і з Англіі, і са Злучаных Штатаў. Як-ніяк, у сям'і бацькі (маці Іосіфа Іосіфавіча была аўстрыйкай, бацька – паляк) было дзевяць дзяцей – восем сыноў і дачка. Адзін з бацькавых братоў, Эрвін, быў авіятарам. У час вайны стаў удзельнікам французскага супраціву фашыстам і ў 1943м годзе загінуў. Адзіная сястра бацькі Марта, якая да вайны жыла ў іх доме ў Баранавічах, пасля прыходу немцаў пешшу пайшла ў Варшаву. Доўгі час ад яе не было ніякіх вестак, потым даведаліся, што дайшла. Там Марта правяла ўвесь час акупацыі, там засталася і да канца сваіх дзён. Вяртацца ў Савецкі Саюз яна не захацела.

«Раней мы падтрымлівалі сувязь, – гаворыць Генадзь Іосіфавіч, – аднак з часам яна перарвалася. Старэйшыя памерлі, а з маладымі ў мяне неяк стасункаў не склалася. А хацелася б, каб хто адгукнуўся, каб сустрэцца. Усё ж блізкая радня!..»

І зараз, на 86м годзе жыцця, Генадзь Іосіфавіч поўны сілы і энергіі. Маюць з жонкай добра дагледжаны агарод, упарадкаваную хату. А гаспадар, майстар на ўсе рукі, яшчэ і дае кансультацыі па рамонце аўтамабіляў. Гэты талент у яго ад бацькі.

«Жывём нібыта няблага. Але адно засмучае: тут ужо сто год толькі суцэльныя лозунгі і хлусня, – з горыччу канстатуе Генадзь Іосіфавіч. – Гэта ўсё ідзе яшчэ ад Леніна. І самае сумнае тое, што многія лічаць гэта нормай…»



Генадзь Іосіфавіч з жонкай Наталляй Уладзіміраўнай. 2016 год. Дом, у якім сям'я Янушаў жыве і цяпер.

Z PRZEWODNIKIEM TURYSTYCZNYM


№ 4. Cena 50 gr.

POLESIE
I TURYSTA

Pińsk, 1936 r.

Dzieje Polesia są tematem wciąż otwartym, fascynującym różnorodnością zagadnień, które nadal, pomimo coraz bogatszej literatury przedmiotu, czekają na swoich historyków. Jednym z takich słabiej wyeksploatowanych badawczo zagadnień jest historia turystyki na Polesiu w dwudziestoleciu międzywojennym, jej początki, uwarunkowania, specyfika. Odtworzenie realiów tej historii w odniesieniu do lat II Rzeczypospolitej nie powinno nastręczać wielu problemów. Temat ten z pewnością jest dobrze udokumentowany w wielu miarodajnych źródłach: archiwaliach, prasie, pamiętnikach, wspomnieniach i relacjach. Źródłem jednak o pierwszorzędnym znaczeniu, poszerzającym naszą wiedzę w sposób najpełniejszy, są przewodniki, poleskie bedekery, których do 1939 r. ukazało się kilka.

O tym, że ich lektura może być zajęciem niezwykle fascynującym, przekonuje przykład wydanego w 1936 r. w Pińsku przewodnika «Polesie i turysta». Sygnowana przez Koło Krajoznawcze Uczniów Gimnazjum Państwowego im. Marszałka J. Piłsudskiego pozycja jest książką szczególną. Wyjątkowość przewodnika polega nie tylko na tym, że niesie ze sobą obfity i różnorodny materiał poznawczy, jakże cenny dla współczesnego historyka. Zdumiewa także poziom intelektualny i literacki autorów – w większości uczniów gimnazjalnych (sic!), którym zawdzięczamy barwne opisy przyrody i folkloru poleskiego, opisy będące, co warte podkreślenia, rezultatem osobistych podróży i obserwacji.

Choć Polesie w dwudziestoleciu międzywojennym nie miało dobrze rozwiniętej infrastruktury turystycznej jak inne regiony Polski, również na jego obszarze obserwujemy początki coraz prężniej rozwijającej się turystyki masowej. Mówią o tym, dla dzisiejszego czytelnika w sposób niezwykle interesujący, te partie książki, które mają charakter praktyczny i zawierają konkretne wskazówki dla uczestników młodzieżowych wypraw po Polesiu. Z pierwszych rozdziałów książki («Jak zwiedzać Polesie?», «Gdzie i co może zobaczyć turysta, zwiedzający Polesie?»), które dzięki dokumentalnej wartości mogą stanowić doskonałą podstawę źródłową do dziejów turystyki, dowiadujemy się mnóstwa interesujących szczegółów: jak wyglądała baza noclegowa na Polesiu w latach 30 – tych, jak przedstawiały się kwestie wyżywienia i transportu (np. możliwości wynajęcia statku), jakie szlaki i atrakcje turystyczne (historyczne, etnograficzne i przyrodnicze) były szczególnie polecane przez miejscowych animatorów turystyki. Autorzy przewodnika, świadomi tego, że Polesie budziło wśród Polaków szczególne zainteresowanie jako kraina pełna egzotyki, dziewiczej przyrody i fascynującego folkloru już na wstępie przekonują, dlaczego warto zapoznać się z «dżunglą poleską»: «Każdy turysta, młody i stary, który zwiedził wiele pięknych krain Polski, w przede dniu

nowego sezonu przypomina sobie wreszcie te krainy, których jeszcze nie widział. Tajemny gwar fal Bałtyku, patyną wieków okryte dachy starego Krakowa, płomienne paszcze wysokich pieców Górnego Śląska, groźne kontury olbrzymów tatrzańskich, malownicza dolina Prutu, potężny jar Dniestru, czar Liceum Krzemienieckiego, zawrotne tętno stolicy, puszcza jodłowa w paśmie Łysogórskim, stare Wilno, wreszcie pojezierze suwalskie – tworzą w wyobraźni krajoznawcy śliczną mozaikę. Wnet jednak obok tej mozaiki powstaje biała plama, odpowiadająca krainom jeszcze niepoznanym. Jeżeli wśród tych ostatnich jest Polesie, to precz wahania, niech powzięta decyzja przeistoczy się w czyn. Przede wszystkim Polesie, kraj pierwotny, egzotyczny, kraj, który już może w niedalekiej przyszłości zniknie w swej dzisiejszej szacie, bo się stanie «Polską Holandią». Jeden rzut oka na załączoną mapkę turystyczną Polesia nie tylko przekona, lecz i podpowie, jak rozpocząć zapoznawanie się z dżunglą poleską. Niezależnie od tego, z której strony świata ma się przybyć w tę dziwną krainę, Pińsk – serce Polesia, będzie i jest tym punktem centralnym, z którego wybiegają promieniście we wszystkich kierunkach drogi, szlaki, ścieżki i bezdroża, wiodące w tajemne knieje».

Prof. Antoni Mączak w swoim znanym eseju «Peregrynacje. Wojaże. Turystyka», w uwagach poświęconych przewodnikom turystycznym, zauważa: «Podróże po turystycznym XIX stuleciu, od lat trzydziestych poczynając, odbywać będziemy z drukowanym przewodnikiem w ręku. Podobnie jak jego poprzednicy (...) nowoczesny przewodnik był przeznaczony do czytania zarówno w terenie, jak w domu przy kominku.» Słowa te idealnie pasują do naszego poleskiego bedekera. Jego niezwykle bogaty i plastyczny język wiele nam mówi o kulturze i wrażliwości literackiej autorów. Już pierwsze, przytoczone powyżej, akapity stanowią zapowiedź znakomitego stylu, jakże odmiennego od stylu współczesnych przewodników. Zdumiewać zwłaszcza musi polszczyzna uczniów – piękna, lekko poetyzowana, niezwykle emocjonalna, będąca wzruszającym przykładem lokalnego patriotyzmu. Czytając «Polesie i turystę» myślimy z nostalgią o poziome nauczania w przedwojennych gimnazjach. Oto jeden z ciekawszych przykładów, fragment rozdziału «Horodyszcze k/Pińska», skreślonego przez ucznia klasy VI: «Liczne wycieczki, zawijające do Horodyszcza, pełne są zachwytu dla malowniczego położenia jeziora (...). Z jednej strony w lustrzanej tafli jeziora odbijają się chatki wsi Zajezierza, położonej vis a vis Horodyszcza, z drugiej zaś przegląda »»»



Polesie. Typy Poleszuków – Zaprząg poleski



Ostatni jesienny rapsod Polesia



»»» stary kościół ze strzelistą wieżyczką i piękna nowa szkoła – schronisko turystyczne. Patrząc z lasku, porastającego wybrzeże obok plebanii, na północny zachód – widzimy piękny zalew jeziora, nad nim starą, jak grzyb wrośniętą w piach, karczmę a opodal nową, malutką, gustownie wyglądającą, stacyjkę kolejową linii Brześć – Pińsk – Łuniec, a jeszcze bardziej na prawo widnieje stos, ułożonych na brzegu a spławionych wodą bali, wyglądających stąd, jak zapałki, przeznaczonych na przeróbkę dla tartaku i fabryki dykt, z daleka widniejących, wokół których rozsiadło się bezładnie kilkanaście domków. Rzućmy okiem na zachód. Widzimy ostro zarysowane wzniesienie Zahorodzia, na którym widnieją, ciągnące się aż hen ku Pińskowi, wsie i majątki. Dziwne robi wrażenie nieprzerwany ich łańcuch, jako kontrast do bezkresnej równiny bagien i moczarów, ciągnących się od nich ku południowi. Ale minęły oto godziny południowe. Zbliża się zachód słońca. Szczególnie pięknie, wprost nie do opisania ślicznie wygląda on nad jeziorem horodyskim. Nie silę się na opis tego, bo na to, by przedstawić całą krasę takiego zachodu, trzeba Mickiewicza. Wspomnę jeno, że wszyscy, którzy go raz widzieli, nigdy nie mają dosyć tego widoku. Obozując tam, przez szereg dni oglądaliśmy go i, co dnia z większym zachwytem, goniliśmy łaknącymi cudnych widoków oczami za grającą tysiącami barw tonią… i płonącymi szkarłatem niebiosami…» Można przypuszczać, że to właśnie m. in. dzięki takiemu sposobowi pisania przewodników, odegrały one ważną rolę w kształtowaniu i rozwoju poleskiej turystyki w dwudziestoleciu międzywojennym, w popularyzacji «tej dziwnej krainy» i jej «tajemnych kniei».

Czytelnik rozsmakowany w tematyce poleskiej znajdzie w «Polesiu i turyście» wiele podobnych ustępów, w których bogactwo informacji idzie w parze z pięknym, literackim przekazem. Warto z zapałem oddać się lekturze kolejnych rozdziałów («Zwierciadło Polesia – Regionalne Muzeum Ziemi Poleskiej», «Ordynacja Dawidgródecka ze szczególnym uwzględnieniem zwierzostanu», «Osada angielskiego generała w dżungli poleskiej», «Wyspa tatarska wśród poleszuckiego morza», «Lubieszów», «Rozniecanie ognia na Polesiu», «Studnia na Polesiu», «Lecznictwo ludowe», «Sianokosy»), by przekonać się, że «pod względem oryginalności życia, osobliwości kultury i krajobrazu Polesie daje zwiedzającemu krajoznawcy wiele rozkosznych momentów przy podróżach po tej «egzotycznej» krainie».

Dobrze by było, aby ta urocza książeczka, jaką jest «Polesie i turysta», podobnie jak i inne poleskie bedekery, z większą siłą przyciągała zainteresowanie badaczy kresowej turystyki. Wszak historia Polesia to również historia poleskiej turystyki, a ta wciąż czeka na swojego dziejopisa.

Piotr BOROŃ

POLESIE
Gdzie jest taki kątek ziemi jak w Polsce Polesie,
ptaki żyją tutaj wolno, a zwierzyna w lesie?
W lasach woda ludzi straszy błyskami ułudy, młodzież bawi się, a tance ozdabia w «prysiudy».
Dusza Poleszuka w karbach, twardego wymogu,
długi oddaje rzetelnie, resztę w cerkwi Bogu, bijąc wiernie Mu pokłony, paląc świece-druty, wierząc, że tyle wystarczy za winy — pokuty.
Harda jest poleska dusza, choć w czynach pokorna,
a u młodych jest ponadto — sękata, zadziorna.
Franciszek LACHOCKI, barda Polesia z Prużany.

O DWOISTOŚCI MIĘDZYWOJENNEGO PORTRETU POLESZUKA

LITERATURA – PUBLICYSTYKA – ZAPISY BADAŃ TERENOWYCH

Polesie i jego mieszkańcy Poleszucy stanowili przedmiot wzmożonego zainteresowania literatury i publicystyki oraz badań etnograficznych w Polsce okresu międzywojennego. Jako kraina bogata w rzadkie krajobrazy puszcz, bagien i rozlewisk rzecznych, trwających przez wieki pogranicznych wpływów polskich, rosyjskich, białoruskich, ukraińskich, zamieszkała przez rdzenną ludność zachowującą do XX w. archaiczną kulturę ludową, mogła budzić zaciekawienie bądź fascynację z perspektywy naukowej (tzn. geograficznej, biologicznej, językoznawczej, etnosocjologicznej, antropologii i kultury materialnej), pisarskiej, krajoznawczej. O polityce, która krzywdząco zaciążyła na dziejach ziem Poleszuków, nie sposób też zapomnieć.

Jednak zanim nastąpiło to ożywienie wokół dosyć tajemniczego terytorium dorzecza Prypeci i Bugu, w polskiej świadomości kulturowej mocno tkwił literacki obraz tej krainy. Stron romantycznie rzewnych i monotonnych, bądź też odwrotnie – niezmierzonych labiryntów rzek, bagien, trzęsawisk, pierwotnych borów, równinnych torfowisk, mszarów i «hał», gdzie można było


Starzec. Czesław Wasilewski

spotkać mnogość ptactwa, zwierzyny i ryb, a przede wszystkim zmierzyć się z własną, pobudzoną przez przyrodę, wyobraźnią. I tylko nieliczne dwory ziemiańskie, wiejskie osady na «ostrowach», nadrzeczne »»»

»»» kurenie rybaków, pochowane w lasach kurne chaty smolarzy i bartników przypominały o bytności człowieka w tym świecie natury. Idąc tropem poezji Wincentego Pola, autora Pieśni o ziemi naszej, Syrokomli i jego Ułasa. Sielanki bojowej z błot poleskich, czy ponownie sięgając po prozę np. Marii Rodziewiczówny (Hrywda, Czahary, Lato leśnych ludzi), Józefa Weyssenhoffa (Puszcza), w której poleskie realia zdarzeń i nade wszystko partie deskrypcyjne potrafią wciąż przemówić do czytelniczej wrażliwości, łatwo zapamiętać takie malownicze sceny sielskiego (?) bytowania.

W międzywojniu próbowano zmierzyć się z tradycyjnym, literackim obrazem tamtych stron i ich mieszkańców. W konsekwencji można było pozostać pod wpływem sugestywnych, artystycznych ujęć intrygującego obszaru szczególnej symbiozy natury i kultury albo wyzwolić się od ich sugestii. Doświadczenie lekturowe, zdobyte przy okazji chociażby penetrowania twórczości Weyssenhoffa; przedwojennego autora popularnych powieści kresowych, uzmysławia, jak rodzi się w czytelniku chęć zasmakowania w opisach poleskiej Puszczy (1916)[1]. I chociaż mozyrską idyllę usytuowaną u ujścia Ptyczy do Prypeci opisywał autor z perspektywy dworu szlacheckiego, wikłając się w ideologiczne anachronizmy, sięgając ponadto po popularne typy postaci i obiegowe schematy fabularne, to jednak potrafił ująć odbiorcę swoim talentem «poety przyrody» [Piszczkowski 1930], rozwijanym w cieniu mistrzowskich opisów Pana Tadeusza [Kieżuń 2006]. Nie zmienia to konstatacji poczynionej z dystansu, że «odkrywanie Polesia» przez Weyssenhoffa (nawiązuję tym razem ironicznie do tytułu dawnego artykułu [Kieżuń 1996]) okazało się tyleż tchnące «czarem ... Polesia» (bardzo znana pieśń), co bałamutne, mylne, podszyte mitologią kresową, na dekonstrukcję której także nadszedł czas [por. Kresy. Dekonstrukcja 2007].

Jednostronny obraz Polesia stracił wyłączność w międzywojniu, w latach trzydziestych. W tym okresie powstawały teksty należące do różnych rodzajów piśmiennictwa (zaznaczonych w tytule), które w sposób inspirujący przedstawiają motyw Polesia. Ze względu na niejednoznaczny i niejednowymiarowy obraz życia ówczesnych mieszkańców dorzecza Prypeci i Bugu, weszły one ze sobą w polemikę. Tę rozbieżność w portretowaniu Poleszuka dostrzegali sami ich autorzy. Jasno widzieli napięcie pomiędzy zabiegami mitologizacji i demitologizacji (dotyczącymi przedstawienia osoby Poleszuka: wygląd, zachowanie, obyczaje, charakter, mentalność oraz przyrodnicze, cywilizacyjne, historyczne, społeczno-polityczne uwarunkowania życia rodzinnego środowiska). Po stronie mitu znalazła się przeważnie literatura piękna, (mająca za sobą wspomnianą tradycję pisarską, zaś w mniejszym stopniu wzorująca się na arcyciekawych, przeważnie budzących zainteresowanie u etnografów, zapiskach J. I. Kraszewskiego Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy (1840). Stanowisko dystansu wobec mitu lub zdecydowanie demitologizacyjne napotkać można w wystąpieniach publicystycznych bądź naukowych. Używając w tytule pojęcia: dwoistość czyli podwójność, mam na uwadze tę właśnie polemiczność portretowania Poleszuka w piśmiennictwie polskim międzywojnia.

Dla jasności wywodu myślowego zostaną zaprezentowane trzy


Oszczepnicy. J.Fałat


Rybak. Leon Wyszczółkowski

charakterystyczne ujęcia Poleszuka:

– Antoni Ferdynand Ossendowski, W polskiej dżungli, 1935; powieść dla młodzieży

– Jan Nowakowski, List z Polesia; publicystyka kulturowa na łamach periodyku «Marchołt» 1936, nr 3

– Józef Obrębski; prace obejmujące wyniki badań terenowych na Polesiu płd.-zach. z lat 1934–1936, podsumowanych na I Zjeździe Sprawozdawczo-Naukowym poświęconym Ziemiom Wschodnim RP 20–21 X 1936 (w 2007 r. wydane osobno

pt. Polesie. Studia etnosocjologiczne t. I w opracowaniu Anny Engelking [Obrębski 2007]).

* * *

Przykładu literackiej kontynuacji mitologizowania Poleszuka i jego rdzennych ziem dostarcza tym razem powieść młodzieżowa Ossendowskiego, a nie zdecydowanie bardziej znana i powszechnie modelująca wizerunek regionu monografia krajoznawcza Polesie tegoż pisarza (wydana w znanej serii Cuda Polski Ryszarda Wegnera[2], Poznań 1934). W utworze adresowanym do młodego czytelnika, autor umiejętnie wykorzystał zdobytą wiedzę o Polesiu, a ponadto uwzględnił w jego strukturze popularne schematy fabularne, jak powieść przygodowo-podróżnicza, rozwojowa, dydaktyczno-wychowawcza i związane z nimi strategie pedagogiczno-ideologiczne. Tym samym jest to nieco zapomniany tekst, na przykładzie którego przejrzyściej można wskazać powielanie zmitologizowanych wizerunków «ludzi krain bagienno-leśnych» i cel takich zabiegów pisarskich.

Antoni Ferdynand Ossendowski (1876–1945) był postacią dosyć tajemniczą; urodzony w Lucynie (gubernia witebska, obecnie – Łotwa), studiował i wykładał nauki ścisłe w Petersburgu, Paryżu, Tomsku, wiele podróżował po Mandżurii, Kraju Ałtajskim, Indiach, Japonii. Był poliglotą (znał m.in. mongolski, chiński). W czasie rewolucji sprawował funkcję doradcy Kołczaka, Ungerna. Po wojnie osiadł w Polsce i napisał kilkadziesiąt książek przygodowych, historycznych (m.in. demaskującą biografię «Lenin», poczytne powieści «Przez kraj ludzi, bogów i zwierząt», «Lisowczycy» itd.). Jako pisarz posiadł na krótko sławę następcy



Sienkiewicza. Niewątpliwie, autor Cadyka ben Berokiego wykazał duży talent w przetwarzaniu popularnych tematów i wzorców narracyjnych. Jeśli w jego licznych i poczytnych niegdyś powieściach dojrzeć można pewną wtórność, to warto też wziąć pod uwagę nieco paradoksalne jej usprawiedliwienie w książkowej prezentacji pióra Andrzeja Chruszczyńskiego Geniusz grafomanii. Rzecz o Antonim Ferdynandzie Ossendowskim: «grafomania jest przecież sama przez się nazwą postawy życiowej, szlachetnej pasji», często tożsamej «z psychicznym musem pisania, uczciwym, pełnym bezinteresowności, z niczym się nie liczącym, wyrażającym się w tworzeniu dzieł literackich» [Chruszczyński 1995, 44]. W każdym razie pisarz posiadał dużą sprawność warsztatową, która niejednokrotnie była warunkiem sukcesu w nowoczesnych warunkach konkurencji literackiej po I wojnie światowej.

W utworach dla dzieci i młodzieży wykorzystywał on w sposób atrakcyjny wątki niespodzianych zdarzeń w «świecie nieznanym» – stanowiącym wyzwanie dla młodego człowieka z żyłką awanturniczą. Wszakże w tym wczesnym wieku z zaciekawieniem gotowi jesteśmy śledzić rozwój «wakacyjnej przygody» rówieśniczych bohaterów [Papuzińska 2010, 57–70]. Jednocześnie Ossendowski włączał w strukturę intrygującej narracji treści krajoznawczo-poznawcze i ideowo-wychowawcze, zakładające kształtowanie wiedzy, samodzielności i dzielnego charakteru dorastającego człowieka (w duchu skautingu). W kreacjach swoich postaci wyróżniał postawę osobistego zaangażowania i odpowiedzialności w życiu społecznym odrodzonego w 1918 r. państwa polskiego. Wychodząc naprzeciw czytelniczym oczekiwaniom godziwej rozrywki lekturowej, pisarz potrafił jednocześnie sumiennie realizować aktualne zadania wychowania narodowego, integracji terytorialnej i w pewnej mierze unifikacji kulturowej, mającej umocnić tożsamość restytuowanego państwa (o czym zazwyczaj się nie pamięta przy okazji przypominania jego biografii).

W pierwszym planie dynamicznej akcji powieści «W polskiej dżungli» znalazły się wakacyjne przygody czwórki nastoletnich »»»

»»» przyjaciół z Warszawy podczas ich poleskiej wyprawy kajakowej: oszałamiające spotkania z fauną i florą dziewiczej puszczy, z zagęszczonymi wodami: rzek, jezior, kanałów (Królewski, Ogińskiego), splątaną siecią bagien, trzęsawisk, «hał» i grząskich traktów, gdzieniegdzie tylko występującymi domostwami osadników i «tutejszych». Młodzieńcza ciekawość świata pozwalała bohaterom rozlicznych przygód, rozgrywających się «w polskiej dżungli», śledzić bystro charakterystyczne krajobrazy i zajęcia ludzi mijanych po drodze.

Na obydwu brzegach ciągnęła się moczarowa równina, tak zwane łuhy. Są to bagna, porośnięte trawą i krzaki olch i łóz. Tam (...) wyłaniały się ciemnozielone kożuchy mchów; cieniutkie, karłowate sosenki lub krzywe, nikłe, omszone brzózki i osiki czepiały się ich szeroko rozrzuconymi korzeniami. Jednakże można też było spostrzec w oddali miejsca wzniesione nieco nad jednostajną niziną. Były to ostrowy – najczęściej piaszczyste pagórki, do których przylepiała się natychmiast wioska, czasem nawet z małą drewnianą cerkiewką o baniastych kopułach [Ossendowski 2009, 65].

W tym krajobrazie, w którym dominował szlak wodny, podróżnicy mogli napotkać niejedno «niezwykłe widowisko»:

Czarna krowa wraz z cielakiem najspokojniej w świecie przepływała rzekę, zwabiona tam zapewne bujniejszą trawą, rosnącą na przeciwległym brzegu [Ossendowski 2009, 65].

Napotkani zaś pastuszkowie spotykali się z pochwałą przejezdnych (zawierającą raczej protekcjonalizm niż uznanie):

Marynia zwróciła uwagę, że mali Poleszucy nie próżnowali. Jedni trzymali pod pachami pęki prętów wiklinowych i pletli koszyczki, drudzy robili kobiałki i chodaki, posiłkując się innym już materiałem – łykiem [Ossendowski 2009, 65].



Foto Louise Arner Boyd

Opisy podróży to nie tylko szczegółowo robione szkice «etnograficzne», z intencją uchwycenia egzotyki odwiedzanego kraju i podglądnięcia życia «tubylców», ale też równie ważne «niezwyczajne» zdarzenia, których bohaterami są sami przybysze. Dnie poleskie turystów wypełnione są myślistwem, rybołówstwem i pożytecznymi uczynkami na rzecz napotykanych ludzi i środowiska leśnego. Ekscytujące są spotkania z rysiem – «z lampartem naszych lasów» [Ossendowski 1935, 35], czy z sumem, przed którym ostrzega ostrożny i skłonny do snucia bajecznych opowieści Poleszuk: «Silna to ryba... oj, silna! Jednego razu ojca mego na Pinie z szuhalei wyciągnęła, a łódkę przewróciła! [Ossendowski 2009, 37].

Poleskie wtajemniczenia, będące udziałem młodych warszawiaków, uwzględniają – co ważne dla zobrazowania nawiązanych relacji z «leśnym człowiekiem, jakim jest Poleszuk» – okazje do czynienia rzeczy pożytecznych. I tak w leczeniu reumatyzmu, febry, stłuczeń, z pomocą prostej apteczki i instrukcji medycznej, celuje dziewczęca bohaterka Marynia, przypominająca Nel z «Pustyni i w puszczy» H. Sienkiewicza. Jej trzej nastoletni towarzysze, spragnieni bohaterstwa w pokonywaniu zagrożeń ze strony żywiołów natury bądź trudów polowań na dzikiego zwierza, mogli upatrywać wzorca w Stasiu Tarkowskim. Oprócz pielęgnowania własnych ambicji, postacie powieściowe potrafią być altruistami, gdy przychodzi im udzielić sprawnej pomocy w ugaszeniu pożaru wiejskiego bądź w wykryciu (ale nie zdyskredytowaniu moralnemu) ubogiego kłusownika. Młodzi podróżnicy nie tylko dają upust swemu głodowi przygody wśród nieokiełzanej i tajemniczej przyrody, wciąż stawianej przez autora na równi z podzwrotnikową dżunglą. Postacie wykreowane przez Ossendowskiego zdobywają sprawności w ujarzmianiu

pierwotnej natury, z sukcesem hartują swój charakter, ale też chętnie pozwalają miejscowym wprowadzać się w kolejne kręgi wtajemniczeń w dziedzinie łowiectwa, rybołówstwa, zielarstwa, sztuki przetrwania w niecywilizowanym środowisku. Jeszcze bardziej ochoczo występują w roli obiecujących adeptów spotykanej inteligencji polskiej, której niejako urzędowo przypisane są zadania należące do ówcześnie podjętej tzw. misji cywilizacyjnej i asymilacyjnej wobec rdzennie tutejszej ludności.

W powieściowym świecie, wśród napotykanych mieszkańców odkrywanej krainy – jak się okazało, tajemniczej, fascynującej i budzącej ambitne wyzwania wśród młodzieży żądnej egzotyki – wyraźny jest podział. Z jednej strony występują osadnicy dawnej i świeżej daty, nieliczni gospodarze i gospodynie, rzadko spotykani nauczyciele, lekarze, częściej urzędnicy administracyjni, służba leśnawszyscy oni gotowi z poświęceniem wspierać pracę cywilizacyjną na zacofanym skrawku ziemi, powierzonym przez władze młodego państwa. Z drugiej strony spotykani są chłopi tutejsi: drobni, zubożali gospodarze, bartnicy, rybacy, robotnicy leśni, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, żyjący z dala od jakiegokolwiek centrum oświaty, słabo władający oficjalnym językiem lub niepiśmienni, zabobonni, trawieni biedą i chorobami. Z jednej strony wyłożony zostaje ambitny program postępu dla Polesia w zakresie usprawnienia gospodarki leśnej, polnej, oświaty ludowej i zintegrowania regionu z państwem polskim, z uwzględnieniem nawiązania ciągłości tradycji Jagiellonów, Batorego itd. Z drugiej – pozostaje obraz pasywnej, niezaradnej, wylęknionej, niezorganizowanej społecznie wiejskiej ludności, wobec której dobrym gestem z zewnątrz jest protekcjonalizm, przynoszący pożytki według prosto, wręcz naiwnie, niemal prostacko i dufnie, rozumianych kryteriów rozwoju cywilizacyjnego.

Skrzętnie opisywane przez Ossendowskiego zabiegi «z zewnątrz» (młodzi bohaterowie, osadnicy) pozyskania wdzięczności tutejszych Poleszuków, ujęte są w ramy polityki asymilacyjnej Polski tamtego okresu, którą mistyfikuje powieść sięgając do repertuaru figur i wyobrażeń patriotyczno-narodowych. Poleszuk jest zamknięty w wizerunku narzuconym a priori, z perspektywy całkowicie zewnętrznej, respektującej «cudze» sądy i wartości. I chociaż w tym portrecie «człowieka leśnego», obok detali opresywnych, są także szczegóły tradycyjnie traktowane jako zalety rzadkiej symbiozy człowieka z naturą, niezwykłej umiejętności czytania «tekstu natury»: rybak, flisak, bartnik, myśliwy, «znachor» pełnią rolę «nauczycieli» prowadzących po labiryncie poleskiego świata przyrody, to jednak ogólne wrażenie krzywdzącego zmitologizowania takiego ujęcia prawowitych! mieszkańców intrygującego kraju pozostaje.

* * *

Dostrzegł tę skazę w popularnym literackim portrecie Poleszuka autor publicystyki «serio»: Jan Nowakowski (1908–1991) w «Liście z Polesia» zamieszczonym w międzywojennym kwartalniku «Marcholt». Było to pismo redagowane w latach trzydziestych przez pisarzy-intelektualistów, naukowców i działaczy kultury [zob. «Marchołt»; Szymański], którzy odważnie podejmowali problemy konfliktowego dialogu kultur narodów, jak polski, litewski, ukraiński, białoruski. W swoich esejach i publicystyce nazywali drażliwe sprawy kontaktów międzykulturowych (w tym politycznych) i – co ważne dla programu pisma – poszukiwali rozwiązań zgodnie z przyjętą antropologiczno-aksjologiczną koncepcją kultury. List z Polesia miał upomnieć się o prawowitych mieszkańców tego regionu. Napisał go nauczyciel języka polskiego, zdobywający doświadczenia zawodowe na wschodnich terenach II Rzeczypospolitej[3]. Wstępnego, syntetycznego przedstawienia obrazów Polesia dokonał Nowakowski z literacką erudycją i zręcznością pisarską, z uwzględnieniem miejsca regionu w ówczesnej polityce. Zestawił dwa ujęcia tego kraju: literacko-mitologizujące i zarazem życzeniowe oraz pozbawione iluzji i dotykające realiów bytu tutejszej ludności. Oto próbki obydwu:


Foto Louise Arner Boyd

Polesie! Kraj czarów i baśni... (...) egzotyką swą do głębi romantyczne serca przejmujących, tokowisk o przedświcie (...) bezsennych nocy na sunącej widmowo po topieli (...) łodzi-duszehubce z milczącym Poleszukiem, kraj »»»

»»» melancholii i zadumy, ciszy i wspaniałych, fantastycznych, iście morskich zachodów słońca, jakże sprzyjających poetyckim wzlotom i rozrzewnieniom... Kraina, o tyle wsławiona pięknością «Puszczy» Weyssenhoffa, tylekroć opisywana w różnych «Czaharach», i w «Hrywdach», i w «Lecie leśnych ludzi». Ziemia, o której mówił ci jeszcze w dzieciństwie natrętnie w uszach brzmiący rytm Wincentego Pola (...) ostrzegał, że droga pójdzie ci przez błota, a oko w oczeretach zginie... [Nowakowski 1936, 482].

A jeśli się w tobie obudzi człowiek czynu, wyrzekniesz: kraj przyszłości, kraj nieograniczonej pojemności osadniczej (...) obdarzony siecią dróg najtańszej, bo wodnej komunikacji, słynny ze znakomitych horyńskich sianokosów, ziemia obiecana kajakowców i etnografów (ach, łapcie, samodziały, hafty!) – olbrzymia połać Polski o możliwościach-nieograniczonych... [Nowakowski 1936, 482].

Te «cuda Polski» (smutno-ironiczne nawiązanie publicysty do uznanej serii wydawniczej) przesłaniają inne obrazy:

Polesie przeludnione do kresu możliwości, Polesie, gdzie przed dwudziestu laty na stu ludzi piętnastu umiało czytać (....) ziemia nędzy straszliwej ... (na przednówku – dopow. A. K.) mąkę miele się z piskorzy, (...) bez śladu drogi bitej ... kraj kurnych chat i przerażającego brudu, kraj nie grypy już, szalejącej w Naprawie, ale kołtunów, ale malarii, gruźlicy, gośćca i głodowego tyfusu [Nowakowski 1936, 483].

Nowakowski pisał dalej o gwałtownej, fragmentarycznej historii narzucanej tej ziemi przez obcych. «Dzikie pole wszelkiej agitacji, akcji eksperymentów narodowościowych, religijnych gospodarczych i społecznych». O polskich tradycjach niegdyś tutaj żywych (Bona, Butrymowicze, Ogińscy, Naruszewicz, Kościuszko, Traugutt) wspominał na modłę literacką, ale nie zapominał wysnuć gorzkiej refleksji historiozoficznej. Bez optymizmu odkrywał znaczenie tych znaków kulturowych: «gwałtem wyrywanych i wyrwanych», z trudem ponownie zasiewanych.

W efekcie różne obrazy oddają – prowokuje do zastanowienia autor Listu z Polesia – «znamię tej ziemi właściwe: tragizm dwoistości».

Na łamach «Marchołta» publicysta odsłaniał z namysłem intelektualnym bezbronność rodowitego mieszkańca Polesia wobec kapryśnego mechanizmu historii, jakby też pokazując tym razem przekleństwo pogranicza wpływów (?). W jego tekście publicystycznym dochodzi do zaaranżowanego spotkania dwojga obcych (?): tutejszego chłopa; tkwiącego w niedostępnej osadzie, odgrodzonego od niezidentyfikowanego centrum – nie Wilno, nie Lwów, też nie Krzemieniec, Pińsk (refleks ówczesnej dyskusji publicznej: centralizacja czy regionalizm – podkr. A. K.) i przybysza-nauczyciela; też tutaj cierpiącego na brak centrum kulturalnego jako punktu oparcia dla «odgórnego» zadania włączenia powierzonych uczniów wiejskich w obieg kultury polskiej. Nadto podkreślona jest mizeria (ekonomiczna, kulturalna) i środowiskowe zamknięcie się tzw. inteligencji napływowej. Misja tych, ironicznie przezwanych «sahibów» znalazła się pod znakiem zapytania:

Otworzą się drzwi i stanie w nich pochylona postać w burej świtce: Poleszuk. Pozdrowisz w









Foto Louise Arner Boyd

nim tajemnicę. Spod baranicy błyśnie kasztanowłosa krótka czaszka, zmarszczka przekreśli wąskie czoło (...) blade, zimne i puste oczy (...). Wymkną się słowa: ruskie, poleskie. I gdy pokój twój wypełniać będzie ostry zapach mokrego, baraniego kożucha, wyglądającego spod samodziału, masz dość czasu pomyśleć nad dziwną zagadką rasy i historii, zamkniętą (podkr. – A. K.) w wyblakłej i smutnej postaci chłopskiej.

Autochton – a tyś przybysz z ostatniej fali [Nowakowski 1936, 484].

List z Polesia nauczyciela polskiego roku 1936 odsłonił mniej znany i niepopularny obraz sytuacji na Polesiu i, co zabrzmiało pesymistycznie i było przyznaniem się do porażki, nie znosił granicy «swój» – «obcy» w kontaktach: polski nauczyciel – chłop poleski.

* * *

Józef Obrębski (1905–67) jako etnograf, antropolog, uczeń Kazimierza Moszyńskiego, zasłużonego zbieracza materiałów etnograficznych z Polesia [zob. Moszyński 1928], i Bronisława Malinowskiego, antropologa cieszącego się sławą międzynarodową [zob. Young 2008], przezwyciężył i mity literackie, i niejako zniósł granice «swój» – «obcy». Bowiem od autora Argonautów Zachodniego Pacyfiku jako teoretyka funkcjonalizmu kulturowego przejął on metody intensywnych badań terenowych, tj. wniknięcie na terytorium badane, używanie tutejszego języka, przechwycenie «od wewnątrz» sposobów myślenia, rozumienia, norm, zwyczajów badanej społeczności, odrzucenie własnych wyobrażeń o badanej kulturze, traktowanie danej kultury jako całościowej, wewnętrznie zintegrowanej i sfunkcjonalizowanej, robienie notatek, wywiadów, zbieranie wszelkich tekstów mówionych i dokonywanie zapisów fonetycznych, w miarę możliwości pozyskiwanie kwestionariuszy, ankiet, listów [Paluch 1981, 41–54]. Charakterystyczny opis rozpoznania «z bliska» interesującej kultury, jakim dzielił się z czytelnikiem autor Argonautów... (1922), nie uszedł uwadze także późniejszych badaczy «przełomowej roli Malinowskiego w historii antropologii społecznej» [Paluch 1981, 46]:

Budząc się każdego ranka witałem dzień, który najczęściej przedstawiał mi się tak, jak tubylcom. Wstawałem [...] aby ujrzeć wioskę budzącą się do życia czy też niektórych ludzi zaawansowanych już w swojej pracy [...]. Obserwowałem szczegóły rodzinnego życia, porannej toalety, sporządzanie i spożywanie posiłków; widziałem sposoby organizowania pracy na dany dzień, ludzi wyruszających w drogę, pracujących poza obrębem wsi, czy grupy mężczyzn i kobiet zajętych przy wyrobie różnych przedmiotów, kłótnie, żarty, sceny rodzinne, wydarzenia zwykłe, błahe, czasami dramatyczne, ale zawsze godne uwagi tworzyły atmosferę codziennego życia [cyt. za: Paluch 1981, 52].

Obrębski, decydując się na podobną penetrację obszarów zamieszkałych przez Poleszuków, miał za sobą doświadczenia naukowe zdobyte na londyńskim seminarium Malinowskiego, praktykę badań terenowych w Poreczu macedońskim oraz silną motywację ujrzenia prawdy o społeczności żyjącej pomiędzy wartościami «Polesia archaicznego» i «dzisiejszej wsi poleskiej» [Engelking 2007, 12–13]. Uczony ustalił główny cel badań: »»»


Foto Louise Arner Boyd







Foto Louise Arner Boyd

»»» prześledzenie przemian zachodzących współcześnie w granicach wsi poleskiej, motywów społecznego odchodzenia od reliktowej kultury archaicznej. Na Polesie przychodził głównie z pytaniami, a nie z góry założoną tezą – podkreśla Anna Engelking we wprowadzeniu do niezwykle cennej i wciąż frapującej publikacji, jaką okazały się zebrane pisma etnosocjologiczne dotyczące Polesia, wydobyte ze spuścizny naukowca [Obrębski 2007]. Charakteryzując jego spostrzeżenia, metody i osiągnięcia naukowe, redaktorka wskazała różnorodność napotykanych tekstów Obrębskiego: opracowania materiałów terenowych, notatki z obserwacji, konspekty, instrukcje, ankiety, wywiady, kwestionariusze, fonetyczne zapisy rozmów, a wszystkie wsparte analizą porównawczą danych statystycznych, urzędowych i dokumentów osobistych. We wstępnym ukierunkowaniu przygotowanej przez Engelking lektury, napotykamy konstatację:

To obszerny i wewnętrznie jednorodny korpus tekstów zapisanych w kilkudziesięciu miejscowościach na obszarze gwar przejściowych ukraińsko-białoruskich, świadectwo żywej mowy tych stron sprzed ponad siedemdziesięciu lat, z całym bogactwem jej ówczesnych interferencji rosyjskich i polskich [Engelking 2007, 17].

Zdobyte obserwacje i materiały zebrane w wyniku badań etnosocjo – logicznych w czasie zespołowych ekspedycji 1934–36, Obrębski spożytkował w referatach (m.in. dyskutowanych na wspomnianym Zjeździe '36 r.), rozbudowanych w obszernych studiach, szkicach, konspektach. Ze względu na główny problem podjętego przeze mnie wywodu, należy zwrócić uwagę na wyłaniający się z opisów uczonego, całkowicie odświeżający portret Poleszuka wobec zastanych, mityczno-stereotypowych wyobrażeń literackich (zwłaszcza powstałych z perspektywy «cudzej» (polskiej) kultury).

Był tego świadom Józef Obrębski. W swoim archiwum pozostawił szkicową polemikę z Legendą leśnych ludzi [Obrębski 2007, 435–444], czylijak zamiennie ujął – z «mitem Poleszuka». Badacz nie zostawił «suchej nitki» na polskim wyobrażeniu kultury kresowej, czy polskim wyobrażeniu Poleszuka. Często z nerwem polemicznym oceniał je jako bałamutne, krzywdzące, kolonialne[4]. Jest to widoczne w surowym osądzie literatury: Polesia Ossendowskiego, Hrywdy Rodziewiczówny. W krytyce tej pierwszej znalazły się oceny:

«Niesumienna obserwacja, nonszalanckie lekceważenie źródeł, (...), wprowadzanie w błąd, blaga reporterska (...)», zaś drugą książkę uczony określił: «ziemiańsko-szlachecko-pański wizerunek wsi» [Obrębski 2007, 441]. I chociaż Obrębski nieco tonował wystąpienie przeciw literaturze pięknej, krajoznawczej, widząc też jej pewne walory, to jednak pozostaje wrażenie, że faktycznie nie przejmuje go «entuzjazmem sylwetka Poleszuka sfingowana przez profesora Ossendowskiego». Mit egzotycznego Polesia, który usilnie podtrzymywał autor powieści W polskiej dżungli (licząc, słusznie, na jej poczytność wśród spragnionych powiewu tajemniczej przygody), został przez Obrębskiego

zdemaskowany na drodze żmudnych obserwacji terenowych:

Egzotyka i oryginalność Polesia nie polega na archaiczności i prymitywizmie miejscowych stosunków społecznych i form życia kulturalnego. Polega ona na tym, że w procesie przemiany kulturalnej, któremu od dziesięcioleci podlega wieś wschodnioeuropejska, Polesie jest tym krajem, który przez długi czas, dzięki swej izolacji, zachowywał odrębność [Obrębski 2007, 450].

Z kolei patrzenie na wieś poleską z perspektywy dworu uważał najwyraźniej za szkodliwy anachronizm. Jednocześnie widać, że autor zebranych zapisów terenowych miał wyraźną sympatię dla osądu «pańskiej» (czyli «cudzej») kultury autorstwa ludności miejscowej. Dla przykładu pisząc o klęsce polskiej szkoły na Polesiu w szkicu: Pańska szkoła i mużyckie dzieci, detalicznie wyjaśniał jej przyczyny, tzn. budowanie edukacyjnego modelu oświaty i kultury z pominięciem fundamentu w postaci rdzennych jej wartości (język, mentalność, folklor, normy, zwyczaje). Wytknął uczestnikom kulturalnej «akcji polskiej» lęk bądź nieumiejętność asymilacji z miejscową kulturą ludową. «Swój» – «obcy» nadal była to relacja obowiązująca. Np. o przebywającym w szkole polskiej uczniu ze wsi poleskiej Obrębski wypowiadał się następująco:

Z mozolnym opanowywaniem języka polskiego wkracza dziecko poleskie w świat nieznanych mu, niezrozumiałych i obcych prawd pańskich. (...) nie odnajduje własnej osoby, własnego świata i własnej rzeczywistości. Szkolny podręcznik i szkolny wykład ukazują mu obcy świat, gdyż nawet własny świat ukazany jest przez okulary pańskie [Obrębski 2007, 406].

Zaś o legendach literackich, dodajmy, że kształtujących wyobraźnię zbiorową, pisał z rozsądkiem:

Prostować tych legend, walczyć z przesądem nie warto (byłaby to) donkiszoteria – walka z wiatrakami uprzedzenia, przesądu (i) głupoty ludzkiej. Mądrych nie trzeba przekonywać, uprzedzonym i tak nie trafi się do przekonania.

Poleszuk może być dla nas tym słomianym chochołem czy małpoludem, którego zeń zrobimy. Czymkolwiek jednak go uczynimy – chocholem (...) herosem, czy wreszcie (i kiedyż to nastąpi?) zwyczajnym ludzkim człowiekiem, równym nam i nam podobnym – o jednym powinniśmy pamiętać: nie będzie on nigdy w tym powszechnym micie, który o nim utworzyliśmy czy jeszcze tworzyć będziemy, wiernym odbiciem rzeczywistości, lecz wizerunkiem własnym nas samych [Obrębski 2007, 443].

Wniosek, nie tylko na podstawie głęboko zaangażowanej refleksji Józefa Obrębskiego, może być następujący: wędrując po nieznanym terytorium kulturowym, najczęściej patrzymy z perspektywy swojej, a dla kogoś cudzej.

Anna KIEŻUŃ
Uniwersytet w Białymstoku

[1] Niejako wbrew ironicznej opinii Cz. Miłosza w Roku myśliwego [Miłosz 1991, 179–180].

[2] Pod nazwą Cuda Polski ukazywały się w wydawnictwie Ryszarda Wegnera w Poznaniu monografie krajoznawcze, m.in. Ossendowskiego: Polesie, Huculszczyzna, Puszcze polskie, Karpaty i Podkarpacie. Publikacje w tej serii były sponsorowane przez MWiOP w ramach akcji popularyzacji regionów atrakcyjnych turystycznie.

[3] Lata nauczania w gimnazjum 1931–1939. Po wojnie Jan Nowakowski był wizytato – rem licealnym, nauczycielem akademickim w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Napisał monografie o Lenartowiczu, Konopnickiej, Wyspiańskim (informacje wg: [Mu – siał 2002, 465]).

[4] Najpewniej z zainteresowaniem zapoznałby się z poglądami Edwarda Saida, autora Orientalizmu (1978), na temat zachodnich dyskursów o Oriencie, inkorporujących mi – tyczny obraz Innego w celu utwierdzenia dominacji cywilizacji Zachodu. Chodzi przede wszystkim o wydobywane i poddane krytyce mechanizmy opresji, decydujące o relacji: kultura dominująca – kultura marginalizowana. «Według Eliota, rzeczywistość nie może być pozbawiona «innych ech, które mieszkają w ogrodzie» (Burnt Norton). Bardziej sa – tysfakcjonujące – i trudniejsze – jest kontrapunktowe myślenie o Innych, a nie tylko o nas. Lecz oznacza to również, rezygnację z rządzenia Innymi» [Said 2009, 71].

Literatura

Chruszczyński A., 1995, Geniusz grafomanii. Rzecz o Antonim Ferdynandzie Ossendowskim, Bydgoszcz.
Engelking A., 2007, Polesie Józefa Obrębskiego, [w:] Obrębski J., Studia etnosocjo- logiczne 1. Polesie, red. naukowa i wstęp Engelking A., Warszawa.
Young M. W., 2008, Bronisław Malinowski. Odyseja antropologa 1884–1920, przeł. P. Szymor, Warszawa.
Kieżuń A., 2006, Mickiewiczowskie inspiracje w powieściach Józefa Weyssenhof- fa. «Pan Tadeusz» i jego dziedzictwo. Recepcja, red. B. Dopart, Kraków, s. 185–194.
Kieżuń A., 1996, Odkrywanie Polesia. O zapomnianej powieści Józefa Weyssenhof- fa, [w:] Wilno i Kresy Północno-Wschodnie, t. IV Literatura, red. E. Felik- siak, A. Kieżuń, Białystok, s. 131–140.
Kresy. Dekonstrukcja, 2007, pod. red. K. Trybusia, J. Kałężny, R. Okulicz-Koza- ryna, Poznań.
Marchołt, 1992, [w:] Słownik literatury polskiej XX wieku, pod red. A. Brodzkiej i in., Wrocław.
Miłosz Cz., 1991, Rok myśliwego, Kraków.
Moszyński, K.,1928, Polesie Wschodnie. Materiały etnograficzne z wschodniej czę- ści b. powiatu mozyrskiego oraz z powiatu rzeczyckiego, Warszawa.
Musiał J., 2002, «Marchołt» (1934–1939). Antologia tekstów, Kraków. Nowakowski J., 1936, List z Polesia, «Marchołt» R.II – nr 3 (7).
Obrębski J., 2007, Studia etnosocjologiczne 1. Polesie, red. naukowa i wstęp A. En- gelking, Warszawa.
Ossendowski A. F., 2008, Polesie, Wydawnictwo Polskie «R. Wegner». Reprint, Rzeszów.
Ossendowski A. F., 2009, W polskiej dżungli, Łomianki (pierwodruk Warszawa – Lwów 1935).
Paluch A. K., 1981, Malinowski, Warszawa.
Papuzińska J., 2010, Mój bajarz. Studia i szkice o literaturze młodzieżowej, War- szawa.
Piszczkowski, M., 1930, Józef Weyssenhoff. Poeta przyrody, Lwów.
Said E. W., 2009, Kultura i imperializm, przeł. M. Wyrwas-Wiśniewska, Kraków.
Said E. W., 2005, Orientalizm, przeł. M. Wyrwas-Wiśniewska, Poznań.
Szymański W. P., 1998, «Marchołt» i profesor, [w:] tegoż, Moje Dwudziestolecie 1918–1939, Kraków, s. 117–141.

WSPOMNIENIA ŁOHISZYŃSKIE

CUDOWNY OBRAZ – OPOWIEŚĆ O ALEKSANDRZE BUŁCZYŃSKIEJ

Chcę ocalić od zapomnienia opowieści mojej mamy o latach jej dzieciństwa i młodości. Mama moja Aleksandra Bułczyńska, z domu Pryputniewicz, urodziła się 9 stycznia 1927 roku w Łohiszynie, obecnie Łahiszyn, miejscowości położonej w odległości 28 km od Pińska w rodzinie chłopskiej. Łohiszyn to taka polska wyspa na Polesiu. Położony wśród bagien Zajasiołdzia, gdzie wspólnie mieszkali Polacy – katolicy oraz Żydzi. Jednak Polacy stanowili większość. Natomiast Białorusini – mużyki, jak ich nazywano potocznie, mieszkali w okolicznych wsiach. Dziwna to była społeczność – miała swój język, który stanowił mieszaninę polskiego, białoruskiego, ukraińskiego, i nim właśnie posługiwali się na co dzień. Był to ich język chachłacki.

Mama miała czworo rodzeństwa – trzy siostry: Marysię, Jankę, Annę, i brata Michała. Była najstarsza z rodzeństwa. Rodzice mojej mamy Aleksander i Ewa Pryputniewicz, z domu Juszkiewicz, posiadali 12-hektarowe gospodarstwo rolne, w tym 5,5 ha ziemi ornej, gdzie uprawiali len, proso, hreczkę, kartofle i warzywa, 5,5 ha łąki oraz 1,5 ha pastwiska z kwitnącymi niezabudkami oraz dom o dwóch izbach kryty słomą, oborę, stodołę i świronok. Hodowali krowy, świnie, owce, kury i gęsi. Z zebranego lnu tłoczono własny olej, natomiast słomę obrabiano tzn. robiono z niej surowiec do krosien, a następnie tkano nastylniki, ruczniki, płótno, z którego szyto soroczki, prostiny. Wieczorami kobiety spotykały się na wyczorkach, zakładały kądziel do potiasza i przędły na wereteno przędzę, z której następnie wyrabiano na drutach swetry, czapki i skarpety.



Zdjęcie ślubne Aleksandry i Bronisława Bułczyńskich



Aleksandra Bułczyńska, 1990

Najbardziej utkwiła mi w pamięci historia kościoła katolickiego oraz księży, którzy sprawowali posługę kapłańską w tym kościele, a byli to ks. Zieja i ks. Kazimierz Bogusz. Miał ten kościół cudowny obraz Matki Boskiej, tak bardzo czczony przez lud i szlachtę, iż nawet senat opiekował się nim, nadając najrozmaitsze przywileje, takie jak zwolnienie dóbr kościelnych od wszelkich podatków. Cudowny obraz Matki Bożej Łohiszyńskiej ma swoją historię. W czasie najazdów szwedzkich jeden z oddziałów, cofając się, zatrzymał się w Łohiszynie. Oficer oddziału, Hałaburda, zamieszkał w domu sekretarza miasta Maliszewskiego. Wiózł on obraz Matki Boskiej z dzieciątkiem bogato ozdobiony. Zawinięty w płótno. Postawił w sieni obok drzwi, tak że otwarte drzwi zakrywały obraz. Kiedy nagle przyszedł rozkaz wymarszu, zapomniał o obrazie stojącym za otwartymi drzwiami. Po wyjeździe Szwedów Maliszewscy zauważyli obraz stojący za drzwiami w porozumieniu z innymi mieszczanami zanieśli obraz do kościoła, gdzie bardzo szybko zasłynął wieloma cudami. Szczególnym cudem było ocalenie kościoła po wielkim pożarze, który zniszczył domostwa dookoła kościoła. Po powstaniu styczniowym prawosławni zabrali kościół i zamienili na cerkiew, obraz tam pozostał. Po wybudowaniu nowej cerkwi prawosławni przenieśli tam obraz, gdzie był otoczony wielką czcią nie tylko przez prawosławnych. Katolicy też przychodzili do cerkwi, aby pomodlić się przed cudownym obrazem. Kościół zwrócono wiernym, którzy musieli go przenieść na cmentarz grzebalny. Tam jednak spłonął i wierni przez kilka lat byli bez świątyni. Katolicy pamiętali jednak, że to ich obraz. Przekazywali z pokolenia na pokolenie, że obraz, który znajduje się w cerkwi, jest z ich kościoła, tzn. jest nasz. Nowy kościół zaczęto budować w 1905 roku po wydaniu ukazu carskiego o tolerancji religijnej. W

czasie, kiedy posługę pasterską sprawował ksiądz Kazimierz Bogusz, powstała myśl przeniesienia obrazu z cerkwi do kościoła katolickiego. Wszyscy wiedzieli, że prawosławni nie oddadzą obrazu dobrowolnie. Młodzi chłopcy wpadli na pomysł, aby zabrać obraz z cerkwi, by nikt nie wiedział i nie widział. Do cerkwi dostali się przez okno dzwonnicy i podając jeden drugiemu. wynieśli go z cerkwi. Ukryto obraz w kościele na sklepieniu, a następnie wysłano obraz do odnowy w Warszawie. Po renowacji biskup Bukaraba przywiózł obraz do Łohiszyna, gdzie uroczyście był witany przez katolików i prawosławnych. Obraz został zawieszony w głównym ołtarzu kościoła katolickiego. Dla uczczenia cudownego obrazu Matki Boskiej Łohiszyńskiej ułożono modlitwę i pieśń opiewającą historię obrazu.

Słowa modlitwy przekazała mi moja mama. Nie pamiętała, kto ją ułożył. Wiadomo, że była przekazywana kolejnym pokoleniom.

Modlitwa do Matki Bożej Łohiszyńskiej

Najświętsza Panno w Łohiszyńskim obrazie ratuj nas Matko w tym ciężkim razie

Dodaj nam rady, dodaj nam pomocy od złych ludzi i nagłej złej srogi

Nie opuszczaj Matko z opieki swej, nie daj nam zginąć nędznej duszy mej

Z młodych lat ty nas wszędzie szanowałaś na koniec szaleński początek wyrwałaś Wyrwij nas teraz z ciężkiego frasunku, dodaj nam Matko swojego ratunku Skrusz serca harde na lwa srogiego na smoki jadą naciérając jego.

Miłość nie prawdą, módl się za nami to ja grzeszna Matko, zmiłuj się Matko,zmiłuj się nad nami. Oczy do nieba podnoszę Maryja swymi cudami na cały świat słynie.

Amen

Tę modlitwę odmawiała moja mama, będąc w szpitalu, i na szczęście udało mi się zanotować jej treść.

Przytoczę również słowa pieśni o nieznanej dacie pochodzenia, którą poprawił ksiądz Zieja i rozpowszechnił w formie broszury w diecezji pińskiej w 1938 r.

Pieśń o Najświętszej Maryi Pannie Łahiszyńskiej

Najświętsza Panno w Łahiszyńskim obrazie! W kościele zostajesz, widzieć się dajesz. Widzimy ze łzami, do Ciebie uciekamy Chowaj nas u Syna Panno Jedyna!

Od ruiny szwedzkiej w Łahiszynie zostałaś I w szwedzkich rękach sobie spodobałaś; Przez Hałaburdę byłaś gdzieś tam wzięta, Matko Przeczysta, Panienko Święta!

W domu Maliszewskich byłaś zapomniana, Od przeszłych mieszczan do kościoła dana; I teraz zostajesz jako w jasnym niebie,

My grzeszni ludzie prosimy Ciebie.

Jednego czasu gdy miasto paliło,

I z dymem iskry na kościół waliło, Już i przysady kościelne gorzały;

Ogniem żarczystym do dachu nie tknęły Matko i Panno swemi łaskami

Okryłaś płaszczem i naszemi łzami, Boś bez nadziei kościół ocaliła; Swemi cudami Tyś to sprawiła.

Tę Monarchinię dawno poznali Chorzy i kalecy, gdy zdrowymi stali; Nędzne sieroty, wdowy i mężatki Miały wyżywienie jak u swojej matki.

Prośmy w zakonie księdza Łahiszyńskiego, Żeby nam przeczytał opisanie tego,

Żeby nam ogłosił wszystkim tu w kościele; Niech młody lud nasz pozna te dzieje.

Teraz my wszyscy głowy skłaniajmy, Najświętszej Pannie modły składajmy, By nam uprosiła w niebie swego Syna Żeby tu nie była żadna ruina.

Boże Najświętszy we trzech osobach, Błogosław lud ten we wszech sposobach, Byśmy tu żyjący Ciebie wychwalali,

Po śmierci wiecznie w niebie zostali

Teresa RADOWSKA



Cudowny obraz

»»»


Bronek Juszkiewicz (pierwszy z prawej)


Kamil z dziadkami, 2011

SYN MŁYNARZA – HISTORIA BRONISŁAWA JUSZKIEWICZA

Mój dziadek – Bronisław Juszkiewicz – urodził się 6 października 1921 roku w Łohiszynie i mieszkał tam do 1945 roku. 27 sierpnia 1945 r., mając 24 lata, wyjechał do Polski jako repatriant. Najpierw przybył w lubelskie powiat Radzyń, m. Przyłuki, potem w kwietniu 1946 r. przyjechał do Słońska i mieszka tu do chwili obecnej. 27 maja 1951 roku w Niedamowie zawarł związek małżeński z Bronisławą, z domu Łobaczewską – w tym roku przypada 60. rocznica ich ślubu. Ma czworo dzieci, dziesięcioro wnuków i jedną prawnuczkę.

Kamil: Dziadku, opowiedz, jak żyło się w Łohiszynie?

Bronisław Juszkiewicz: Łohiszyn to miejscowość położona 28 km na północ od Pińska, województwo poleskie, na terenach dawnej Polski. Przed wojną Łohiszyn był miastem, w którym rządził burmistrz, obecnie jest to wieś, w której zamieszkuje około 4000 mieszkańców. W tej miejscowości mieszkali Polacy oraz kilkanaście rodzin żydowskich. W Łohiszynie był kościół, cerkiew, bożnica żydowska, urząd, remiza strażacka, szkoła podstawowa siedmioklasowa, ośrodek zdrowia, apteka, sklepy prywatne prowadzone przez Żydów.

Mieszkałem z rodzicami Janem i Anielą, rodzeństwem: Marcelą, Anną, Michałem, Janiną i Aleksandrą, oraz z dziadkami Michałem i Franciszką.

Moja mama zmarła, gdy miałem 12 lat, a najmłodsza siostra Aleksandra miała wtedy pół roku. Większość obowiązków spoczywała na mnie, ponieważ byłem z rodzeństwa najstarszy, wychowywała nas babcia Franciszka.

Kamil: Jak wyglądał dziadka dom rodzinny?

Bronisław: Mieszkaliśmy przy ulicy Piaski Pierwsze, w domu zbudowanym z drewna. Mieliśmy w tym domu dwie izby (kuchnia i pokój) oraz spiżarnię. Mieszkanie ogrzewaliśmy piecem chlebowym, który był połączony z pokojem. Wokół domu mieliśmy piękny, duży sad, w którym przeważały wyśmienite grusze pod nazwą «Złotobery», były ogromne i smaczne.

Kamil: Czy dziadek chodził w Łohiszynie do szkoły?

Bronisław: Do szkoły podstawowej w Łohiszynie chodziłem w latach 1928–1935. Bardzo lubiłem się uczyć, najlepszym przedmiotem była matematyka. Czytałem dużo książek, które wypożyczałem w bibliotece. Wszystkich książek do nauki nie posiadałem, pożyczaliśmy sobie między kolegami. Natomiast zeszyty miałem wszystkie, do każdego przedmiotu.

Kamil: Z czego się utrzymywała dziadka rodzina?

Bronisław: Mój dziadek prowadził 14-hektarowe gospodarstwo rolne, na tym gospodarstwie pracowali rodzice i rodzeństwo. W późniejszych latach dziadkowie przepisali gospodarstwo rodzicom, a następnie mnie. Gospodarstwo to było prowadzone z dziada pradziada. Utrzymywaliśmy się z inwentarza żywego: mieliśmy bydło, świnie, drób, owce, konie, pasiekę pszczelą. Dużo produktów mieliśmy z własnego gospodarstwa.

Mój ojciec był stolarzem, pobudował młyn drewniany na wiatrakach, w późniejszych latach ze wspólnikami wybudowali młyn na ropę, po którą musieli jeździć jeden raz w tygodniu do Pińska odległego o 28 km. Było to bardzo uciążliwe, więc zdecydowali, że przerobią młyn na gaz. Maszyny i urządzenia do tego młyna sprowadzili ze Szwajcarii. We młynie mieliliśmy zboże dla ludzi, ja także tam pracowałem.

Kamil: Jakie potrawy dziadek pamięta z dzieciństwa?

Bronisław: Potrawy były urozmaicone, z produktów naszego gospodarstwa. Kasze gryczana i prosiana były parzone, następnie

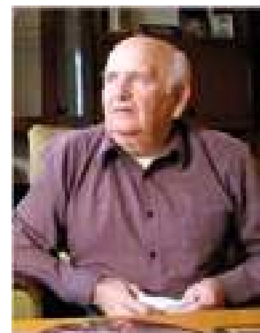
okraszane mięsem i pieczone w brytfannie w piecu chlebowym, miały wyjątkowy smak. Najbardziej lubiłem potrawy mleczne i tuszonce, tj. ziemniaki surowe krojone w plastry duszone z warzywami i mięsem, oraz skwarki mięsne, które były przyrządzane z mięsa, boczku z przyprawami i duszone, jak wspomniałem, w piecu chlebowym. Gotowaniem zajmowała się mama, potem babcia.

Kamil: Jak spędzaliście wolny czas?
Bronisław: Wieczorami ludzie spotykali się w domach, przędli kądziel, śpiewali i żartowali. Natomiast w sobotę robili potańcówki w prywatnych domach i bawili się przy muzyce harmonii do białego rana.

Kamil: A jaki jest kościół w Łohiszynie?
Bronisław: W Łohiszynie jest kościół pod wezwaniem Apostołów Piotra i Pawła, w którym znajdował się cudowny obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus. W roku 1997 uczestniczyłem w uroczystości koronacji. Obraz ten został koronowany papieskimi koronami przez kardynała Kazimierza Świątka i został nazwany «Matka Boża Królowa Polesia» – była to piękna uroczystość, którą wspominam do dnia dzisiejszego. Rocznica koronacji jest obchodzona 10 maja każdego roku.

Rozmawiał z dziadkiem:
Kamil ILNICKI

BOŻE NARODZENIE OCZAMI BRONKA – OPOWIEŚĆ BRONISŁAWA TATAREWICZA


Bronisław Tatarewicz, 2011

Rodzina: Urodziłem się w Łohiszynie w 1940 r. Jak wszystkie rodziny w Łohiszynie mieliśmy pole, łąkę i las. Dzięki temu prawie nic nie musieliśmy kupować, ponieważ wszystko dawało nam pole. Poza rolnictwem zajmowaliśmy się również działalnością rzemieślniczą. W domu była olejarnia, w której tłoczono olej lniany (teraz mało znany). Nie można było go trzymać dłużej niż tydzień, ponieważ był nietrwały, tracił wartości odżywcze, dlatego tłoczyliśmy go na bieżąco. Wykorzystywany był na własne potrzeby lub wymienialiśmy się na inne produkty.

Mieliśmy też cegielnię polową. W ogrodzonym drewnem okręgu wyrabiało się glinę, z której robiło się w foremkach cegły i gotowe odstawiało do osuszenia. Z tych cegieł można było na przykład zbudować piec, w którym było miejsce w środku na drewno. Taki piec służył nie tylko do ogrzewania domu, ale również do spania na nim i gotowania posiłków. Wykorzystywany był również do suszenia zboża, owoców czy pestek z dyni. W tym piecu gotowano posiłki na cały dzień: kobieta wstawała rano i gotowała jedzenie w trzech wielkich garach, które wystarczało na cały dzień: na śniadanie, obiad i kolację.

Zwyczaje: W Łohiszynie tradycji było mnóstwo. Każda okoliczność stwarzała ramy jakiegoś obrzędu. Na każdą okazję były przyśpiewki, czy to był ślub, chrzest, czy nawet pogrzeb. Nie obeszło się bez śpiewania również podczas żniw, podczas przerwy w pracy na polu lub w podróży.

Na weselach wszyscy goście się znali. Najważniejsi byli starosta weselny, druhowie i druhny. Dla podkreślenia ich rangi na weselu państwo młodzi dekorowali ich ozdobnymi szarfami.

Na kolędę chodziliśmy w grupach kolegów mieszkających na jednej ulicy. »»»

»»» Kolędowaliśmy tylko w obrębie swojej ulicy. Obcym wstęp był wzbroniony i to nie tylko podczas kolędy. Kolędowanie polegało na tym, że chodziło się od domu do domu, pukało w okna i śpiewało kolędy. Otrzymywaliśmy za to chleb, ciasto i różne inne rzeczy. Wtedy wszyscy przyjmowali kolędników. Był taki zwyczaj, że chłopcy chodzili w wigilię Bożego Narodzenia, a dziewczyny w wigilię Nowego Roku.

Po wojnie podczas pogrzebu był pochód, na którym grała orkiestra. Grę orkiestry słyszała cała miejscowość, a dla dzieci uczestnictwo w pochodzie z orkiestrą było rozrywką. Groby stawiano z krzyżem z żywego drewna, a trumny wyglądały jak skrzynie.

Szkoła: W szkole po wojnie uczono w języku rosyjskim. O wykształcenie się nie starano, sądząc, że ukończenie szkoły i tak nie zapewni w przyszłości pracy. Mało kto kontynuował naukę. Dzieci do szkoły zaczynały chodzić, jak już nie trzeba było wypędzać krów na pastwisko oraz gdy kończyły się prace polowe. Jak chodziłem do szkoły, to została ona spalona i wtedy gromadziliśmy się w różnych domach, aby mogły odbyć się lekcje.

Czas wolny: Gdy miałem czas wolny jako dziecko, to nie siedziałem w domu, tylko spotykałem się z kolegami z ulicy na wielkim, leżącym w pobliżu głazie. Głaz był tak duży, że mieściło się nas na nim chyba dziesięciu. Graliśmy tam w różne gry. Bardzo lubiłem czytać książki, chowałem się, żeby mnie nikt nie znalazł, i czytałem. Gdy chodziłem paść krowy, zabierałem ze sobą książkę i czytałem zamiast pilnować krów i one mi uciekały. Byłem w świecie książki i nic nie słyszałem poza własnymi myślami.

Czasem chodziliśmy do innych słuchać różnych opowieści, legend o naszej miejscowości. Słuchaliśmy opowiadań przy lampie naftowej lub przy świecy.

Spisali: Barbara GĄSIOREK
i Henryk RADOWSKI



WESELE W RUDZKU

przez

HELENĘ CZECHOWSKĄ.



W KRAKOWIE,
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.
W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem A. M. Kosterkiewicza.
1895.

Wioska, pod nazwa Rudzk, leży wśród dość nizkiej i lesistej równiny, 5 mil od Pińska w gub. mińskiej, u samej granicy pow. kobryńskiego, gub. grodzieńskiej, o 4 wiorsty od miasteczka Janowa, tegoż powiatu. Razem z gruntami dworskimi tworzy jak gdyby wysepkę, otoczoną ze wszystkich stron wodą, a posiadającą obszar 1,135 dziesięcin.

Od strony zachodniej, płynie rzeczka, odgraniczająca Rudzk od sąsiedniego majątku Peredіła i rządowej wioski Zarudzia. Skręcając na południe, rzeczka ta przepływa koło samej wsi Rudzk, gdzie jest nazywaną Neslużka, Niesłucha; odgranicza ją od sąsiedniej wioski Konotopa i u granicy folwarczku dworskiego A w u l s u, w stronie południowo-wschodniej, łączy się z dopływem swym, drugą małą rzeczułką, zwaną Czyroczka. Stąd obie płyną już dalej, poza granicami Rudzka, koło Pieszkowa, Ludynowicz aż do wsi Potapowicz, gdzie wpadają do dawniejszej Piny, a obecnego kanału Dnieprzańsko-Buskiego.

Od strony wschodniej i części strony północnej płynie Czyroczka, odgraniczając Rudzk od folwarku Pieszkowa i wsi Suche.

Ze strony północnej, zacząwszy od Nesluźki, przeprowadzony jest przez nizką łąkę rów graniczny, oddzielający wieś tę od majątku Mohylna, z jego posiadłością miasteczkiem Janowem. Rów ten stanowi granicę do samej Czyroczki prawie, o mały kawał tylko nie dochodząc do niej, ale i ten kawał łąki granicznej na wiosnę i w jesieni jest zwykle zalany wodą. W ten sposób powiedzieć można, iż, wyjąwszy krótki czas letni, nizka ta łąka ze swym rowem granicznym tworzy niby kanał, łączący dwie małe rzeczki, grunty zaś rudzkie tworzą wskutek tego wyspę, która też lud nazywa Ostrówkiem, i nazwę tę nadał jednemu z uroczysk.

Obie rzeczki, a szczególniej Czyroczka, w niektórych miejscach latem przesycliaja, tworząc tym sposobem małe jeziorka. W płytszych miejscach rzeczkę nazywają struga.

Istnieje wśród mieszkańców Rudzka legenda o powstaniu nazw okolicznych wiosek, która tu tak zamieszczam, jak mi ją opowiadano, niemal dosłownie. Jest ona dowodem, jak lud wogóle jest ciekaw i nad wszystkiem się zastanawia, jak nawet drobny szczegół zwraca jego uwagę, jak stara się wszystko sobie wytłomaczyć; gdy zaś nie umie zdać z czego sprawy, tworzy mityczne podania i legendy.

《Niegdyś, dawno już temu, za przodków jeszcze, jechała sobie prorokini w podróż naokoło świata i przejeżdżała przez okolicę naszą. Jodzie ona, jedzie, aż tu, w miejscu, gdzie stoi teraz Konotop, przejeżdżając przez rzeczkę Neslużkę, potopiła konie. Potopiła, a sama ledwie żywa wyszła z tej topieli i, dla przestrogi ludzkiej, nieszczęśliwe owo miejsce nazwała Konotopem. Poszła już dalej piechotą. Idzie ona, idzie, zmęczyła się bardzo, więc wieś, którą spotkała, na pamiątkę tej drogi nazwała Pieszkowem. Zmokła jeszcze cała, przychodzi do miejsca, gdzie leży teraz Suche. A wieśże to.. Och! a błotnistaż to, a mokra.. Bodaj temu dobra nie było, mówią zawsze ludzie, kto tę wieś tak nazwał — kiedy ona mokra, nie sucha! Ale jej, właśnie, prorokini, wypadło tam wówczas przesuszyć się, odpocząć i wzmocnić po uciążliwej drodze, wiec nazwała ją Suche m. Jedzie już teraz znów dalej, jedzie, zajeżdża do Rudzka, do nas. A u nas w Rudzku zastała wszystko po ludzku. Tak też i nazwała: Ludzk, Rudzk. Stąd pojechała do Hniwczyc, zagniewała się tam czegoś i nazwała wieś II n i w c z y c a ni i. Z Ilniwczyc pojechała do Morozów ; tam przymarzła i nazwała Morozy》,

Wioska sama jest położona na gruncie piaszczystym. Przez środek jej przechodzi trakt komunikacyjny z Janowa do Lubieszowa, łączący się z dawnym traktem pocztowym lubieszowsko - pińskim. Z jednej strony wioski, nad rzeczką, leżą ogrody warzywne, z drugiej na wzgórzu stał dawniej dwór i zabudowania dworskie, ale później z powodu pożaru przeniesiono go dalej ku granicy kobryńskiej, gdzie i obecnie się znajduje.

Na innem wzgórzu piaszczystem stoi kapliczka, otoczona drzewami, i mogiłki. Kapliczka posiada obraz cudowny Matki Boskiej, do którego w czasie nabożeństwa, odprawianego kilka razy na rok, schodzą się włościanie ze wszystkich wiosek okolicznych, i natłok wtedy bywa wielki. Lud »»»

»»» wierzy w cudowność obrazu i kapliczkę stara się podtrzymywać własnym kosztem. Z pomiędzy siebie wybierają zarząd, pilnujący jej całości, tudzież ofiar (len, płótno, groszowe datki do skarbonki) i pieniędzy, otrzymanych ze sprzedaży tych ofiar. Pieniędzy owych używają na reparacye. Obecnie maja już zebranych – z dumą o tym mówią – stokilkadziesiąt rubli i z wiosną zamierzają odnowić i rozszerzyć kapliczkę.

Jest podanie, w okolicy Pińska rozpowszechnione, o św. Bobolim. Otóż kapliczka ta była jednem z miejsc, gdzie się odbywały «zbory». Sw. Boboli zgromadzał w niej lud i nauczał. Na trakcie janowskim, o pół wiorsty niespełna od Janowa, złapano go wkońcu, a na miejscu tern, dotychczas jeszcze stał krzyż między trzema lipami. Niedawno runął i zostały tylko dwie lipy, trzecia – uschła i odarta, złamana stoi teraz jak martwy szkielet. Sw. Boboli, złapany, zaprowadzony został na rynek janowski, gdzie go ukamienowano. Na miejscu tem jeszcze przed kilkunastu laty stał murowany pomnik.

«Diuczyna» każda w Rudzku musi wpierw poznać przyszłego swego i, jeśli się jej nie podoba, nie wychodzi zań za mąż. «Zenych» również przeznaczoną sobie stara się przedtem poznać, a przynajmniej zobaczyć; gdy mu się zaś nie podoba, żenić się z nią nie myśli, chociażby «zapoiny» odbyte już były.

Poznanie się nie odbywa się jeszcze w sposób otwarty między interesowanymi, starają się o to we wzajemnej dotychczas niby tajemnicy względem siebie; wiedzą jednak dobrze o wzajemnej swej chęci poznania się, lecz – bywanie i rozmowa rzeczy to jeszcze zwyczajem powszechnym zabronione. To też gdy swatowie przybędą i, wedle zwyczaju, zaczną głosić wszelkie zalety protegowanego swego, ukryte wady naturalnie zostawiając daleko za sobą, dziewczyna wymyka się wtedy do sąsiadów na zwiady i stosownie do zebranych danych daje odpowiedź. On znów albo zakrada się wieczorem pod okno chaty, w której przyszła jego przebywa, lub też, jeśli należy do odważniejszych, przychodzi w dzień i przez sąsiadów daje znać, że chciałby ją widzieć. Dziewczyna wówczas wychodzi do ogrodu, niby nie wiedząc, jakby dla zobaczenia czegoś, a właściwie obserwują się wzajemnie ukradkiem, nie zdradziwszy się tylko ani słowem. Gdy mu się nie podoba, cofa krok swój, dziewczyna zaś napróżno wtedy czeka narzeczonego swego i, gdy czas «zapoin» przejdzie, a zaswatany nie zjawia się, wie już czemu to przypisać.

Tak więc młodzi zdobyli już sobie prawo wyboru, ale właściwie pozostaje ono zawsze jeszcze w rękach rodziców. Jeżeli bowiem młodzi mogą się uchylić od wyboru rodziców, ci nawzajem ich wyboru mogą nie uznać i nań nie zezwolić; a wtedy muszą się wyrzec własnych swych nadziei i projektów, bo przeciw woli rodziców nie idą.

Zdarzają się przykłady że «diuka» odmawia kilkunastu i więcej starającym się; lecz nieoświeconę umysły zraża to i wkońcu, gdy skończy lat dwadzieścia kilka, swatowie przestają chodzić, dziewczynę zaś prześladują drwinami, czem ostatecznie zmuszają do wyjścia, chociażby tego, któryby się jej podobał nie spotkała jeszcze.

Żenią się przeważnie w wieku lat 18–20, wychodzą za mąż w roku 17–19. Niezamężnych nie spotyka się wcale. Wychodzą i w późniejszym wieku, co jednak rzadko bywa. Zapytane odpowiadają: «Nyhodna ne ostajetsa tak – wsiakym, wsiakym Bióh paru daje, chyba kalika».

Sam obchód weselny pozostaje dotychczas niezmiennym w swych obrzędach, chociaż każda wieś ma pewne swoje, zwyczajem ustalone odmiany.

SWATY
«Zapoiny» pierwsze.

Tak nazwaną jest forma zeswatania. Przyjeżdżają swatowie w liczbie 2 lub 3, zwykle mężczyźni, chociaż może być i kobieta. Przedstawiają wszystkie zalety «żenycha» i pomyślność związku z nim, namawiają, radzą z rodzina dziewczyny, która nie zaraz wychodzi, a natomiast wybiega do sąsiadów dla dowiedzenia się co ludzie o nim mówią i jak radzą.

Swatowie stawią wódkę, kwartę, lub dwie – i te to rady i narady przy kielichu nazywają się «zapoinami». Jeżeli rodzice nie czekając zgodzenia się córki, przyrzekną, ona, stosownie do zebranych

Drodzy czytelnicy, pełny tekst książki «Wesele w Rudzku», wydanej w Krakowie w 1895 r. autorstwa Heleny Czechowskiej, jest dostępny na naszej stronie internetowej **www.echapolesia.pl** Zapraszamy!

wiadomości, jeśli nie chce wychodzić za mąż, płaci za wódkę, jeśli zaś zgadza się, zezwala na picie i sama również wypija trochę, gdy jest śmielszą; zwykle jednak żenują się i, umoczywszy zaledwie usta, oddają kielich napowrót. Swatowie starają się zwykle jak największą ilość wódki wypić, garniec lub dwa, by tym sposobem utrudnić odmowę. Wielkość zapłaty za wódkę przeważa nieraz szalę niechęci wyjścia za mąż.

Gdy przyrzecze, dają «zapowiedź i we dwa tygodnie następują drugie, formalne już zapoiny, czyli zaręczyny, z obecnością młodego, we trzy zaś tygodnie – ślub i wesele.

Zapoiny drugie

Powtórne te zapoiny można porównać z naszemi zaręczynami; maja toż samo znaczenie i nazywają też wówczas zaswatanych «zaruczonyji», «zaruczonaja».

Jest to ostateczne już, formalne zgodzenie się, a w dowód tego zamiast naszych pierścionków, ona daje mn 2 chustki i arbuziki w prezencie, on zaś ją całuje.

Na tydzień przed ślubem, w sobotę zwykle, młody z 3-ma lub 4-ma swatami przyjeżdża do narzeczonej. Gdy wejdą do chaty, zapraszają ich za stół i przygotowują przyjęcie.

Zapraszanie za stół ma miejsce, chociażby przyjęcia nie podawano – stanowi ono formo uhonorowania przybyłych, w czem stół gra ważną rolę – gościnne przyjęcie przybysza polega na posadzeniu go za



stołem, bo to jest najparadniejsze miejsce. W obrzędach zaś weselnych zapraszanie takie za stół stanowi już samo przez się pewien obrządek, ceremonię konieczną. Gdy tak przybyli toczą swe rozprawy za stołem, narzeczona tymczasem idzie na wieś i zaprasza tych, którzy na weselu być mają.

Goście, wchodzący w skład wesela, nazywają się «układnyji» i obowiązani są dostarczyć w pewnych częściach zapasów spiżarnianych. Każda chata, a zwykle bywa ich mniej więcej 10 (proszonych), obowiązaną jest dać: szynkę wieprzową lub inne mięso, krup miskę, clileba bułkę, wódki garniec. Na przyjęcia też wszelkie zapraszani są tylko «układnyji», wszyscy inni, tj. tak zwani «pobocznyji», widzowie, na których składa się nieledwie cała wieś, do stołu nie przystępują i korzystają tylko z zabawy i tańców.

Następuje przyjęcie, w początku którego odbywają się zapoiny, t. j. swatowie piją «prypywajut» do rodziców młodej i rodziny jej, kobiety zaś śpiewają:

1.

Zapyta diwońka, zapyta,
Szółkom chustońka naszyta;
Zapywały jeji u noczy,
Naszywały chustońku pry swyczy.
Zapywau że jeji uweś riód,
Riiidnyj bateńko naperiód.

2.

Paswyła diwońka woły Po zelónuj dubrówy;
Paswyła, pohubiła,
Szukała – zabłudyła,
Pryszóu do jeji Bateńko jeji:
«Chody ditiatko do domu,
Majesz hósteńky u domu».
«Chocz wy ich i odprawiajte,
Albo im chustońku dajte!» –

Po skończonem przyjęciu młoda ofiaruje swe dary: sama zawięzuje narzeczonemu jednę chustkę na szyję, drugą za pas zakłada, a on ma je tak przez całe wesele; do kieszeni sypie mu arbuziki. Narzeczony całuje ją wówczas i następnie zaprowadzają ich do komory, pozwalając przebyć ten wieczór sam na sam. Wkrótce zaczynają się rozchodzić i młody odjeżdża.

Na drugi dzień rano, tj. w niedzielę młody u siebie sprasza swoich gości weselnych, przeważnie mężczyzn.

WIGILIA W ZIEMIAŃSKICH DWORACH – WSPOMNIENIA


Franciszek Pelikan. Pokłon pasterzy, rysunek

Z OPOWIADANIA «WIEŚ I DWÓR» – 1912

«Przed ganek zajechały sanki, a służba wybiegała na wyścigi. Państwo także pospieszyli do siebie i wrócili otoczeni gromadką zaproszonych, bezżennych sąsiadów. Jeszcze powitalne pocałunki nie ucichły, gdy znów rozległ się turkot i stary sługa, Adam, zawołał:

– Panienka nasza przyjechała! A stojąc za nim Marysia, pokojowa, zgromiła go z oburzeniem:

– Pan Adam zawsze po swojemu ... Nie panienka Joasia, tylko już od dawna pani Kryńska z córeczkami i synkami... (...) W obszernych pokojach naraz stało się gwarno, jak w ulu»

«Zachwyconym okiem patrzał Wojtek przez niedomknięte drzwi jadalni na jarzącą się światłem choinkę. Stała pośród pokoju, ogromna, pod sufit sięgając prawie – spowita w mgły srebrzystego szronu, jak grono bogate, kapiące owocem, słodyczami, świecidłem. Dookoła «gwiazdki» niby motyl w ruchu – skakały dzieci, paniątka szczęśliwe, uradowane, syte ... Staś dostał mały samojazd, Zosia dźwigała lalkę ogromną o wytrzeszczonych, strasznie głupich oczach i modnej fryzurze. Izio – najmłodszy, miał pełną buzię cukierków i różne zabawki. Ośmioletni Izio był przyjacielem Wojtka. Mieli ze sobą różne konszachty, bawili się razem, a Wojtek ogrodniczek znosił Iziowi najczerwieńsze jabłka, najlepiej strugał mu z drzewa żołnierzy i konie. Kochali się bardzo. Toteż – gdy Izio spostrzegł w szparze drzwi lnianą czuprynkę Wojtka, rzucił część zabawek na kolana matki i skoczył ku drzwiom.

– Wojtek ... Wojtuś»!... Patrz co ja dostałem!... Trąbkę... Konie... Książeczki... A i ty Wojtuś dostaniesz książkę... Zobaczysz jaka ładna. Widziałem u mamy...»

CZAPSCY W PRZYŁUKACH – PRZEŁOM XIX I XX W/

«Przed wilią rodzice, a następnie /po śmierci matki/ sam ojciec, ze starszą siostrą, schodził do suteren, gdzie stały stoły zastawione dla służby i łamali się opłatkiem, potem z nami». «Nasze Boże Narodzenie było piękne i wesołe, jak zwykle (...) z wszystkimi drogimi dziećmi w dobrym zdrowiu. W sumie 362 osoby zostały obdarowane. Jerzy ofiarował mi prześliczną prześliczną suknię i wspaniały wachlarz».

MARIA DĄBROWSKA

Wobec tego ojciec brał talerz, na którym leżały opłatki, i wszyscy /ze służbą/ szli do kuchni. Na wielkim stole były porozstawiane miski, a na nich piętrzyły się jabłka, orzechy, pierniki. Musiała być porcja dla każdego, i z dworskiej kuchni i z czeladnej. Wszyscy się cisnęli, żeby się przełamać opłatkiem. Potem dostawali ogromny kielich wódki, a ojciec do nich przepijał. Przychodzili też włodarze, stelmach, ogrodnik – ale ci tylko opłatkiem się łamali i życzenia składali». «Matka drżała, aby dzieci nie udławiły się ością, a dzieci jadły ryby ze strachem



i zdawało im się czasem, że się dławią. Wtedy ojciec kazał im jeść dużo kartofli i były zachwycone».

«Duże włoskie orzechy jedliśmy z miodem, a małymi laskowymi graliśmy w cetno i licho».

MELCHIOR WAŃKOWICZ

«Zaraz po wieczerzy wigilijnej państwa, przy tymże stole w stołowym zasiadała służba. Na miejscu babki prezydowała kucharka Kazimierzowa i garbaty «gospodarz» (włódarz) Laskowski. Babka wchodziła z opłatkiem, dzieląc się ze wszystkimi, przy czym każdemu mówiła indywidualne życzenia. Nie zawsze były te życzenia słodkie. Czasem babka pochyla się do ucha: – Patrzaj – zaczynał się cichy szept, po czy nic już nie było słychać, tylko palec wskazujący babki surowo groził. zaczerwieniony delikwent ułamywał opłatek, całował w rękę i skwapliwie ustępował następnemu».

ANDRZEJ KUŚNIEWICZ – PODOLE, LATA 30. XX W.

«A Wigilia to nader ważny obrządek. Tradycja każe podawać dwanaście potraw. (...) Kluski przy kutii to jak świeżo mianowany baron przy Radziwiłłach. Kutia – Nadpotrawa, Obyczaj i Obrządek, niemal Sprawa Święta, jeśli nie Narodowa. Bo nasze Kresy całe – w tej kutii».

JAN TYSZKIEWICZ – TARNAWATKA, LATA MIĘDZYWOJENNE

«Jedliśmy, ale tak naprawdę marzyliśmy tylko o tym, żeby to już się skończyło i żeby wpuszczono nas do salonu. Wreszcie Tata otwierał drzwi, wpadaliśmy do środka i co roku ten sam widok zapierał dech w piersiach – cudowna, piękna, ogromna choinka migotała tysiącem świec, przystrojona kolorowymi bombkami i zabawkami. Wyglądała jak z bajki».

«W tamtych czasach zimy były zimami z prawdziwego zdarzenia, pamiętam ten cudownie skrzący się w blasku księżyca świeży śnieg. Taka nocna sanna była niezapomnianym przeżyciem. W kościele czuć było wyraźnie zastygły w mroźnym grudniowym powietrzu zapach kadzidła i wódki, którą ochoczo rozgrzewali się zmarznięci parafianie. Po pasterce wymieniali jeszcze długo życzenia świąteczne.» »»»









JULIAN WIENIAWSKI

«U mnie na wsi w bieluchnej jak śnieg jadalni, ozdobionej festonami choiny i świerku, stał stół sosnowy sianem przytrząśnięty, a na nim parę flakonów cienkusza, baterya piwa i półmisek z piernikami, orzechami i owocami, domowej produkcji. Dorywalska /gospodyni/ dała nam zupkę migdałową ... perfekcya! (...) Troiste rybki, na biało, na szaro i smażone, stanowiły chlubę Dorywalskiej... no, a owoce smażone i kluski z makiem były punktem kulminacyjnym jej chwały (...) U nas na wsi po spożytej wieczerzy i odśpiewaniu kolędy, karty nie przyszły mi nawet na myśl. Przyzwyczajony do uroczystego obchodu tej pięknej pamiątki chrześcijańskiej, wybrałem się do naszego parafialnego kościoła na Pasterkę».

HELENA MIEROSZEWSKA – 1836 KRAKÓW

«W Wigilię było dużo osób u nas, bardzo było wesoło. Po zjedzeniu wigilii zaczęłyśmy robić różne przepowiednie dla panien, która z nich najpierw za mąż pójdzie. Najpierw topiłyśmy wosk i wylewały na miednicę napełnioną wodą zimną. Z niego tworzyły się różne desenie, a nasza bujna fantazja wyczytywała z nich przepowiednie. Potem puszczałyśmy na wodę dwie zapalone świeczki oprawione w skorupki od orzechów włoskich. Jedna z nich przedstawiała pannę, druga młodego człowieka, którego nazwałyśmy, wybrawszy wśród naszych znajomych. Tak długo po wodzie lawirowały, a my z zapartym prawie oddechem śledziłyśmy ten ich ruchy i wybuchały radością, jeżeli w przeciągu dziesięciu minut przeznaczonych na te dwie świeczki zeszły się, bo to wtedy miało znaczyć, że ta para połączy się węzłem małżeńskim. Następnie popisałyśmy pierwsze litery imienia i nazwiska panien i na nich położyły kawałki chleba z masłem i wpuściły psa. Którą gałkę ten najpierw zjadał, ta panna najpierw za mąż wyjść miała. W końcu wzięłyśmy czepek, wianek i różaniec i przykryłyśmy je, dawałyśmy kolejno pannom do wyboru. Która wyciągnęła czepek, ta miała wyjść za mąż, która wianek, zostać starą panną, a którą różaniec, ta zakonnicą. Z tych wszystkich przepowiedni wypadło, że to ja mam najpierwsza zawrzeć śluby małżeńskie. Wyznaję, że mnie to bynajmniej nie cieszy, bo jak dotąd nie mam ku temu najmniejszej ochoty. Tak pragnę jeszcze swobody i panieńskiego życia. Tak mi dobrze w domu, i mimo że to były tylko żarty, irytowało mnie, gdy będące osoby składały mi życzenia, i wcale z tych przepowiedni się nie cieszę.»

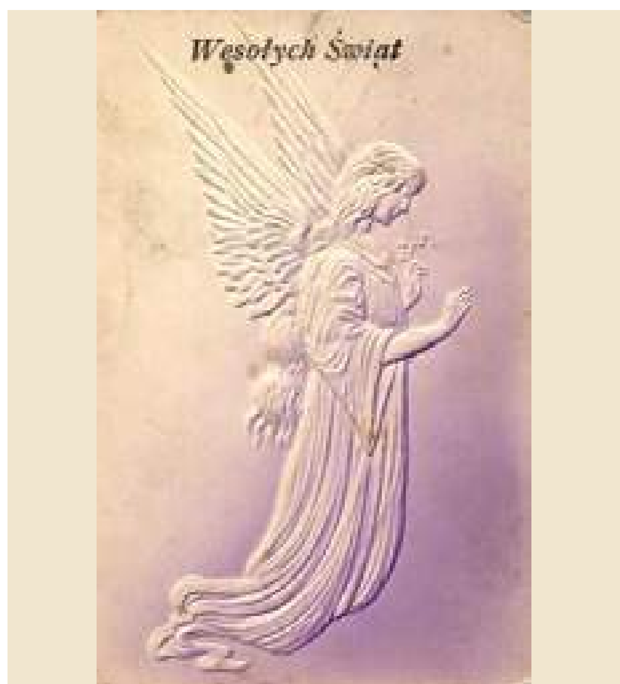
DAWNE ŚWIĘTA

Bez umedialnienia, gadżetyzacji
i unifikacji świątecznych wzruszeń...
Stare kartki bożonarodzeniowe.

















Zima bowiem wyzwala mieszkańców Polesia z przepotężnej władzy trzęsawisk, topieli wodnej i nieustannej mozolnej pracy.
Jak okiem sięgnąć, rozpiera się tam na cztery, pięć miesięcy biała równina – jedna wielka bezkresna i bezpieczna droga! Od chwozdku do chwozdku, od rozświetli do rozświetli, od chutora do wsi i dalej - do miasteczka i miasta poleskie sanie na jesionowych płozach przetną niebawem zimowy szlak. Pobiegnie on czarnym pasmem poprzez zamarzłe jeziora, niedostępne mokradła, koryta rzek i to zniknie w mroku borów i puszczy, to znów wypadnie na zaśnieżone hala i podstępne, zdradne biele.(...)
Zdobne w puszystą szadź szronu, nieruchome, ośnieżone tkwią krzaki, jak gdyby podsłuchując, o czym szemrzą i szeleszczą obumarłe sitowia i uschłe tataraki na pobliskich nietrach – niedostępnych uroczyszczach, porośniętych łozą, trzcinami, olchą i zielskiem.

Antoni Ferdynand Ossendowski, Polesie